



Diana Palmer



Dwoje w Montanie

Tytuł oryginału: Diamond in the Rough



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miasteczko Hollister było niewiele większe od leżącego również w Montanie Medicine Ridge, gdzie John Callister miał do spółki z bratem Gilem ogromną posiadłość. Bracia uznali jednak, że rozsądniej nie ograniczać się do jednego miejsca i jednego rodzaju działalności. W Medicine Ridge prowadzili nowoczesne ranczo rozplodowe. W Hollister postanowili skupić się na sprzedaży młodych rasowych byków, które – dzięki zdobyczom nauki oraz specjalistycznej technologii – posiadałyby konkretne cechy fizyczne, na przykład szczupłą budowę. Zamierzali również przetestować, jaki wpływ na rozwój zwierząt mają nowe organiczne pasze zawierające mieszaninę białek i zbóż.

W okresie kryzysu gospodarczego doskonałej jakości wołowina pochodząca od „szytych na miarę” zwierząt trafiała do wymagających odbiorców. John z Gilem nie prowadzili hodowli ras mięsnych; ograniczali się do hodowli buhajów. W tej dziedzinie panowała duża konkurencja, zwłaszcza że ceny mięsa ciągle szły w górę. Hodowcy nie chcieli dłużej polegać na naturalnym rozmnażaniu. Woleli zdać się na nowoczesne metody naukowe oparte na badaniach genetycznych. A Gil z Johnem należeli do pionierów w tej dziedzinie. Ponadto, dzięki programom komputerowym, zarządzali swoim królestwem tak, by minimalizując odpady, osiągać maksymalne zyski.

Kiedyś Gil usłyszał o możliwości wykorzystania odzwierzęcego metanu do produkcji energii elektrycznej. Początkowe koszty były wysokie, ale rezultaty okazały się znakomite. Prąd do oświetlenia pomieszczeń oraz paliwo do sprzętu rolniczego pochodziły z gazów cieplarnianych. Nadwyżki prądu kupowały firmy energetyczne. Callisterowie zainstalowali również

kolektory słoneczne do grzania wody w domu oraz zasilania urządzeń hydraulicznych. W jednym z największych pism rolniczych ukazał się duży artykuł o wprowadzonych przez nich unowocześnieńiach. Tekstowi towarzyszyło zdjęcie Gila, jego córek oraz niedawno poślubionej żony. Sesja fotograficzna ominęła Johna będącego akurat w podróży służbowej. Bynajmniej go to nie zasmuciło; nie przepadał za rozgłosem.

Bracia umówili się, że John będzie zajmował się wystawami, i robił to z powodzeniem. Powoli jednak zaczynało go męczyć życie na walizkach. Coraz bardziej też doskwierała mu samotność, zwłaszcza odkąd Gil poślubił Kasie, ich dawną sekretarkę, a Bess i Jenny, córki Gila z pierwszego małżeństwa, poszły do szkoły. Powtórny ożenek brata uzmysłowił mu, że czas nieubłaganie płynie. On, John, skończył już trzydziestkę. Owszem, umawiał się z kobietami, ale jeszcze nie spotkał tej jednej jedynej. Poza tym na rodzinnym ranczu czuł się trochę jak piąte koło u wozu.

Między innymi dlatego zaproponował, że przyjedzie do Hollister i zajmie się odbudową małego znajdującego się w opłakanym stanie rancza, które kupili od starego Bradbury'ego. Może zastrzyk pieniędzy, nowe zwierzęta oraz nowa technologia zdołają przywrócić ranczo do dawnej świetności?

Dom, który John widział jedynie na wykonanych z powietrza zdjęciach, był w stanie kompletnej ruiny. Właściciel od lat nie czynił żadnych napraw. Kiedy nastały ciężkie czasy, musiał zwolnić większość pracowników. Utrzymanie rancza okazało się ponad jego siły. Płoty uległy zniszczeniu, krowy co rusz przedostawały się na zewnątrz, studnia wyschła, stodoła spłonęła i w końcu staruszek stwierdził, że ma dość. Wystawił ranczo na sprzedaż. Gdy Callisterowie zapłacili żadaną sumę, stary ranczer przeprowadził się na wschodnie wybrzeże i zamieszkał u córki.

Dopiero na miejscu John przekonał się, jak ogromne czeka go zadanie. Będzie musiał zatrudnić ludzi, zbudować stodołę i oborę, wywiercić nową studnię, przywrócić dom do stanu używalności, naprawić ogrodzenia, kupić sprzęt, uruchomić produkcję energii odnawialnej... Jęknął w duchu. W porównaniu z nowoczesnym ranczem w Medicine Ridge to w Hollister wydawało się żywcem przeniesione z epoki średniowiecza. Nie wystarczy miesiąc czy dwa, aby stworzyć tu coś sensownego. Zanosiło się na ciężką wielomiesięczną harówkę.

Na polu pasły się dwa konie rasy appaloosa, jedyne dwa z licznego niegdyś stada. Reszta zwierząt została sprzedana, a kowboje zwolnieni z pracy. Na szczęście Johnowi udało się ich odnaleźć i ponownie zatrudnić. Ucieszyli się. Wszyscy mieszkali w promieniu paru kilometrów i obiecali, że mogą używać w pracy własnych koni.

John nie zamierzał tracić czasu; chciał jak najszybciej skompletować stado. Najpierw jednak musiał zbudować pomieszczenia gospodarcze. Najważniejsze było pomieszczenie dla nowo narodzonych cieląt oraz chorych zwierząt. No i oczywiście dom.

Na razie spał w śpiworze na podłodze; wodę, by móc się ogolić, podgrzewał w rondelku na kocherze, kąpał się w strumyku. Dzięki Bogu była wiosna, a nie zima. Dwa razy wstąpił na posiłek do jedynej w miasteczku knajpki, w sklepiku przy stacji benzynowej kupował kanapki. Nie było mu łatwo, zwłaszcza że w podróżach służbowych zwykle mieszkał w pięciogwiazdkowych hotelach i jadał wyszukane potrawy.

Poruszał się dżipem średniej klasy. Wolał, by nie wiadano, że jest bogaty. Zazwyczaj kiedy się podjeżdża luksusowym autem, wszystko natychmiast kosztuje dwukrotnie więcej. Na razie nie znał nikogo w miasteczku. Rozmawiał jedynie z kowbojami, których zatrudnił na ranczu.

Zatrzymał wóz przed sklepem, w którym sprzedawano paszę, artykuły rolnicze, a także sprzęt jeździecki. Może, pomyślał, właściciel poleci mu jakiegoś dobrego przedsiębiorcę budowlanego.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. W powietrzu unosił się kurz. John rozejrzał się. Dostrzegł szczupłą dziewczynę o krótkich ciemnych włosach, ubraną w sprane dżinsy, kowbojki oraz zrobiony na drutach sweter.

Jak wielu kowbojów nosił buty z ostrogami, które brzęczały przy każdym kroku. Poza tym miał na sobie dżinsy, rozpiętą koszulę dżinsową włożoną na czarny podkoszulek oraz zawieszony nisko na biodrach pas z kaburą, w której tkwił colt kaliber 45. Montana to dziki stan, nieuprzemysłowiony; John nie wyruszał z domu bez ochrony przed drapieżnikami.

Dziewczyna przyglądała mu się dość natarczywie. Nie zdawał sobie sprawy, że urody mógłby mu pozazdrościć niejeden gwiazdor. Spod kapelusza o szerokim rondzie wystawały lśniące blond włosy oraz przystojna twarz o regularnych rysach. W dodatku był wysoki, umięśniony, choć nie przesadnie muskularny.

– Czym ty się, do diabła, zajmujesz? – dobiegł go z zaplecza zagniewany głos. – Prosiłem, żebyś wniosła te worki z paszą, zanim zacnie padać! No, ruszaj się!

Skuliwszy się, dziewczyna oblała się rumieńcem.

– Dobrze, szefie. Już idę. – Znikła pośpiesznie za drzwiami.

Johnowi nie podobał się arogancki ton szefa. Nikt nie ma prawa zwracać się w ten sposób do pracownika, szczególnie do kobiety. Kobiety? To była nastolatka, właściwie jeszcze dziecko. Z kamienną miną skierował się na zaplecze, oczy błyszczały mu ze złości. Mężczyzna – brzuchaty facet z przerzedzoną czupryną, sporo starszy od Johna – obrócił się.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał znudzony, jakby nie zależało mu na ubiciu żadnego interesu.

– Pan jest właścicielem?

– Kierownikiem – burknął w odpowiedzi brzuchacz. – Tarleton. Bill Tarleton – przedstawił się.

John zsunął z czoła kapelusz.

– Szukam kogoś, kto by mi zbudował stodołę.

Bill Tarleton uniósł brwi. Powiódł wzrokiem po znoszonych dżinsach Johna, po jego porysowanych butach i taniej koszuli.

– Ma pan ranczo w okolicy? – spytał z niedowierzaniem i parsknął śmiechem.

John pohamował złość.

– Ja nie, ale mój szef owszem – skłamał pod wpływem impulsu. – Kupił dawne ranczo Bradbury'ego przy Chambers Road.

– Tę ruinę? – Tarleton skrzywił się. – Stary Bradbury siedział na tyłku, nic nie robił i patrzył, jak wszystko mu niszczeje. Nikt nie potrafił tego zrozumieć. Wiele lat temu prowadził znakomitą hodowlę bydła. Przyjeżdżali do niego kupcy z Oklahomy i Kansas.

– Cóż, zestarzał się.

– No tak... Mówi pan: stodołę? Hm. – Bill Tarleton zamyślił się. – Jackson Hewett ma firmę budowlaną. Stawia domy, a właściwie rezydencje. Ale chyba stodołę też mógłby zbudować. Mieszka za miastem, niedaleko starej stacji kolejowej. Znajdzie pan jego numer w miejscowej książce telefonicznej.

– Dzięki.

– A pana szef... pewnie będzie potrzebował ziaren, paszy, może części upręży?

John skinął głową.

– Gdybym czegoś nie miał na składzie, zawsze mogę zamówić.

– Będę pamiętał – odrzekł John. – A na razie przydałby mi się porządny komplet narzędzi.

– Sassy! – ryknął kierownik sklepu. – Klient chce komplet narzędzi! Przynies jeden z tych nowych zestawów, które dostaliśmy!

– Tak jest, szefie!

– Skaranie boskie z tą dziewczyną – mruknął. – Często bierze wolne. Ma chorą na raka matkę i adoptowaną sześciolletnią siostrzyczkę. Pewnie wkrótce zostaną same, ona i ta mała.

– A matka... dostaje jakąś rentę? – zapytał John.

– Nie wiem, chyba nie. Zdaje się, że wcześniej, przed chorobą, nie pracowała; pomagała innym chorym. Wszystkie trzy żyją z pensji Sassy. Ojciec rzucił rodzinę dla innej kobiety. Przynajmniej mają dom, dość skromny, ale lepszy taki niż żaden. Przypadł w udziale matce, w ramach podziału majątku.

John poczuł dziwne ukłucie w żołądku, gdy zobaczył, jak Sassy taszczy wielką skrzynię z narzędziami. Dziewczyna sprawiała wrażenie, jakby ledwo była w stanie unieść uzdę, a co dopiero taki ciężar.

– Proszę mi to dać – rzekł nonszalanckim tonem. Postawił skrzynkę na ladzie, otworzył, obejrzał zawartość. – Ładny ten zestaw.

– I drogi – wtrącił Tarleton – ale wart swej ceny.

– Szef prosił, żebym otworzył tu rachunek na jego nazwisko.

Oczywiście za narzędzia zapłacę gotówką. – Z tylnej kieszeni spodni wydobyl portfel. – Dostałem forszę na drobne wydatki.

Tarleton patrzył szeroko wytrzeszczonymi oczami, jak klient wyciąga jeden banknot dwudziestodolarowy po drugim.

– Jakie nazwisko umieścić na rachunku?

– Callister – odrzekł John bez mrugnięcia okiem. – Gil Callister.

– To ten gość, który ma ranczo w Medicine Ridge?

– Ten. Zna go pan?

– Kto, ja? – Tarleton roześmiał się kwaśno. – A skądże! My, prości ludzie, obracamy się w nieco innych kręgach niż tacy jak on bogacze.

John odetchnął z ulgą. Wolał, aby tubylcy nie znali jego tożsamości, przynajmniej na razie. A ponieważ w najbliższej przyszłości nie zamierzał jeździć na wystawy bydła, istniała mała szansa, że jego zdjęcie pojawi się w piśmie branżowym. Hm, to może być całkiem przyjemne udawać zwykłego faceta. Przekonał się, że okazałe konto przyciąga oportunistów, a zwłaszcza oportunistki.

– To co, można u pana otworzyć rachunek? Rzecz jasna, od razu wpłaciłbym pewną sumę...

– Zaraz się tym zajmę. – Bill Tarleton uśmiechnął się szeroko. – I proszę przekazać panu Callisterowi, że sprowadzę wszystko, czego tylko będzie potrzebował.

– Przekażę.

– A pan jak się nazywa, jeśli wolno spytać?

– John. John Taggert.

Taggert miał na drugie imię, po dziadku ze strony mamy, który osiedlił się w Dakocie Południowej.

– Taggert? – Kierownik pokręcił głową. – Nie znam.

– Nie jestem nikim sławnym.

Sassy wciąż stała przy kasie. John podał jej banknoty. Wbiła sumę, po czym wydała resztę.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się.

– Bardzo proszę. – Odwzajemniła nieśmiało uśmiech. Miała piękne zielone oczy, z których biło ciepło.

– Wracaj do roboty – warknął Tarleton.

– Dobrze, szefie. – Okręciwszy się na pięcie, wróciła do worków leżących na rampie.

John zmarszczył czoło.

– Nie jest za krucha, żeby dźwigać takie ciężary?

– Na tym polega ta praca. – Tarleton wzruszył ramionami. – Przedtem zatrudniałem chłopaka, ale wyprowadził się z rodzicami do Billings. Nikogo nie mogłem znaleźć na jego miejsce. Wreszcie Sassy się zgłosiła. Przysięgała, że sobie poradzi. I sobie radzi.

– Może tylko sprawia wrażenie słabej – mruknął John bez większego przekonania.

Tarleton skinął głową. Zajęty był wpisywaniem nazwiska Gila do księgi rachunkowej.

– Do zobaczenia. – Sięgnąwszy po skrzynkę z narzędziami, John ruszył do drzwi.

Tarleton ponownie skinął głową.

John zerknął na dziewczynę, która z trudem ciągnęła olbrzymi wór. Z wahaniem obejrzał się przez ramię. Kierownik sklepu stał na rampie, obserwując, jak Sassy podnosi kolejne worki. Johnowi nie spodobał się wyraz jego twarzy; normalny kierownik nie patrzy w ten sposób na swoje pracownice. Zmrużył z namysłem oczy. Trzeba będzie coś z tym zrobić.

Kiedy wrócił na ranczo, przed domem czekał jeden ze starszych kowbojów, gość o nazwisku Chad Dean.

– Niezły ten zestaw – rzekł na widok skrzynki. – Pana szef musi mieć forsę jak lodu.

– Owszem. W dodatku nieźle płaci.

– Serio? – Kowboj roześmiał się. – Miło by było nie skąpić dzieciakom jedzenia. A wszystko drożeje, żarcie, benzyna...

– Niech się pan nie obawia, szef płaci bardzo regularnie, zwraca też koszty podróży. Gdyby musiał pan gdzieś jechać, na przykład po odbiór towaru, dostanie pan zwrot za paliwo.

– Kurka wodna...

– I jeśli szef będzie zadowolony z pańskiej pracy, na pewno da panu podwyżkę.

– Wszyscy będziemy solidnie pracować – obiecał Chad Dean. –

Widmo głodu zaglądało nam już w oczy.

John zacisnął wargi.

– Zna pan Sassy? Tę dziewczynę, która pracuje u Tarletona?

– Jasne. – Po twarzy Chada przemknął cień. – Facet jest żonaty i ciągle się do Sassy przystawia. A ona nie może rzucić tej pracy. Opiekuje się matką, która umiera, i sześcioletnią dziewczynką, która z nimi mieszka. Tarleton kiepsko jej płaci, pewnie biedaczce ledwo starcza do pierwszego. W dodatku stale musi się opędać od jego zalotów. Moja żona radziła jej, żeby zgłosiła się na policję. Ale Sassy mówi, że gdyby się poskarżyła na Tarletona, mogłaby stracić pracę. Miasteczko jest małe, nikt by jej nie zatrudnił. Już Tarleton by się o to postarał.

John pokiwał głową.

– Myślę, że wkrótce los się do niej uśmiechnie.

– Oj, chciałbym. To taka sympatyczna dziewczyna. Bez przerwy troszczy się o innych. Mój syn miał operację wyrostka. Sassy pierwsza odgadła, co mu dolega. Był u niej w sklepie, kiedy chwycił go ból. Sassy natychmiast zadzwoniła po lekarza. Lekarz zbadał Marka i zabrał go do

szpitala w Billings. Sassy wpadła do niego z wizytą. Diabli wiedzą, jak się tam dostała, bo na pewno nie swoim gratem; ten by się rozkraczył po drodze. Przypuszczam, że poprosiła starszka Parksa, żeby ją zawiózł. Parks stara się opiekować Sassy i jej matką. Porządny z niego gość.

– Faktycznie. A ile... – John zawahał się. – Ile lat ma Sassy?

– Osiemnaście, dziewiętnaście. Dopiero zdała maturę.

– Tak podejrzewałem. – John czuł się lekko zawiedziony. Sam nie rozumiał dlaczego. – No dobra, Chad. Zabieramy się do roboty. Najpierw ogrodzenie...

Nazajutrz podjął decyzję: trzeba działać. Zadzwoił do prywatnego detektywa, z którego usług czasem z bratem korzystali, i poprosił go o zebranie informacji na temat Billa Tarletona. Detektyw przystąpił do pracy; na rezultaty John nie musiał długo czekać.

Tarleton, na własną prośbę, odszedł z poprzedniej pracy w Billings. Detektywowi udało się odszukać jednego z jego dawnych współpracowników, który powiedział, że chodziło o molestowanie seksualne. Osoba, którą napastował, nie wniosła przeciwko niemu oskarżenia. Tarleton przeprowadził się wraz z rodziną do Hollister, kiedy właściciel sklepu rolnego, niejaki Jake McGuire, dał ogłoszenie w piśmie branżowym, że poszukuje kierownika. Poza Tarletonem nikt się nie zgłosił. McGuire miał nóż na gardle. Tarleton dostał pracę.

– Ten McGuire... w jakim jest wieku? – spytał John, przyciskając do ucha komórkę.

– Ma ze trzydzieści pięć lat – odparł detektyw. – Wszyscy mówią, że to porządny gość.

– Innymi słowy, nie zdaje sobie sprawy, że Tarleton naprzykrza się dziewczynie?

– Podejrzewam, że nic o tym nie wie.

– Hm, jak sądzisz: czy McGuire byłby zainteresowany sprzedażą sklepu?

Na drugim końcu Unii rozległ się śmiech.

– Ten interes przynosi mu same straty. Znajomi twierdzą, że sprzedałby sklep za psi grosz, żeby tylko pozbyć się kłopotu.

– Dzięki, stary. Możesz mi podać jego numer telefonu?

– Notuj.

John zapisał numer. Nazajutrz rano zadzwonił do firmy McGuirea w Billings.

– Chciałbym rozkręcić interes w Hollister – rzekł do słuchawki, przedstawivszy się rozmówcy. – Podobno zna pan właściciela tamtejszego sklepu rolnego.

– Sklepu rolnego? – zdumiał się McGuire. – Chce go pan kupić?

– Może. Zależy od ceny.

– Wie pan, ten sklep został założony przez mojego ojca ponad czterdzieści lat temu. Ja go odziedziczyłem. I prawdę mówiąc, nie bardzo chcę się go pozbywać.

– Przynosi straty – oznajmił John. Na drugim końcu linii nastała cisza.

– Tak, wiem. – McGuire westchnął zrezygnowany. – Zatrudniłem nowego kierownika. Wcześniej mieszkał z żoną tu, w Billings. Zapłaciłem za ich przeprowadzkę do Hollister. Sporo mnie to kosztowało. – Ponownie westchnął. – Prowadzę rozległe interesy. Niestety brakuje mi czasu, żeby wszystkim zajmować się osobiście. Sklep w Hollister ma dla mnie wartość sentymentalną. Tarleton dopiero niedawno zaczął pracę; może wyciągnie sklep z długów...

– Prędzej trafi za kratki, a pan będzie miał nieprzyjemności,

– Za kratki? A co takiego zrobił?

– Z ostatniej pracy został zwolniony za molestowanie seksualne, przynajmniej tak wynika z dochodzenia, jakie zleciłem. W Hollister wrócił do swych niecznych praktyk; narzuca się dziewczynie, która dopiero skończyła szkołę, a którą wynajął do pomocy w sklepie.

– Dobry Boże! A miał takie świetne referencje!

– Może i miał. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby również miał za sobą długą historię molestowania kobiet. Przyłapałem go na tym, jak wodził za dziewczyną lubieżnym wzrokiem. Ludzie gadają, że jeśli nie da jej spokoju, to dziewczyna zgłosi sprawę policji. Czyli pański nowy kierownik raczej nie wyciągnie sklepu z długów – dokończył kwaśnym tonem John.

– Psiakrew, tak to bywa, kiedy człowiek ma nóż na gardle – mruknął McGuire. – Przyjąłem Tarletona, bo nie było innych chętnych. Zapłaciłem za jego przeprowadzkę. W dodatku nie mogę go zwolnić bez ważnego powodu.

– Skoro nie chce pan sprzedać sklepu, to może oddałby go pan w leasing? Wtedy jako nowi dzierżawcy moglibyśmy zwolnić tego drania i zatrudnić własnego kierownika. Ręczę, że za dwa lub trzy miesiące sklep zacząłby przynosić zyski.

– My? To znaczy kto? – spytał McGuire.

– Ja i mój brat. Jesteśmy ranczerami.

– Po co mielibyście brać w dzierżawę sklep rolny w zabitej deskami miejscinie?

– Kupiliśmy starą posiadłość Bradbury'ego. Zamierzamy wyremontować dom, zbudować stodołę, oborę, zająć się hodowlą bydła.

– Staruszek Bradbury był najlepszym przyjacielem mojego ojca – rzekł z zadumą McGuire. – Znał się na ranczerstwie, ale z wiekiem zdrowie

zaczęło mu szwankować. Cieszę się, że jego dawne ranczo nie popadnie w kompletną ruinę.

– Na to nie pozwolimy. To doskonała ziemia.

– Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć swoje nazwisko?

– Callister – odparł John. – Mamy z bratem wielkie ranczo w Medicine Ridge.

– To pan jest z tych Callisterów? Rany boskie, wasz majątek jest wart miliony!

– Owszem – przyznał ze śmiechem John.

McGuire zagwizdał.

– No, no, jeśli będziecie się zaopatrywać w moim sklepiku, to chętnie wam go wydzierżawię.

– A co z kierownikiem?

– Dopiero co zapłaciłem za jego przeprowadzkę z Billings – jęknął mężczyzna.

– A my zapłacimy za jego powrót do Billings i damy mu dwutygodniową odprawę. Facet absolutnie nie może dalej kierować sklepem.

– Poda nas do sądu.

– Niech spróbuje – rzekł John. – Wtedy nie spocznę, dopóki nie wyciągnę wszystkich ciemnych sprawek z jego przeszłości. Może mu pan to powiedzieć.

– Powiem.

– Jeśli poda mi pan namiary na swojego prawnika, poproszę, aby nasz dział prawny się z nim skontaktował. Myślę, że czeka nas owocna współpraca.

Na drugim końcu linii rozległ się śmiech.

– Ja też tak sędzę.

– Aha, jeszcze jedno. – John zawahał się. – Będę osobiście nadzorował prace na ranczu, ale wolałbym, żeby miejscowi nie wiedzieli, kim naprawdę jestem. Przedstawiłem im się jako zarządca o nazwisku Taggert.

– Chce pan pozostać anonimowy? Rozumiem. Może pan liczyć na moją dyskrecję – obiecał McGuire.

– Zwłaszcza zależy mi, aby Tarleton i jego pracownica niczego nie zaczęli podejrzewać.

– W porządku. Powiem facetowi, że rozmawiałem z pańskim szefem.

– Będę zobowiązany.

– Mam pytanie. Jeśli dam Tarletonowi wymówienie, to czy w ciągu dwóch tygodni znajdzie pan kogoś na jego miejsce?

– Owszem. Znam człowieka, który pracował w pewnej firmie na kierowniczym stanowisku, a na emeryturze nudzi się jak mops. Myślę, że nawet na środku pustyni potrafiłby rozkręcić interes.

– Świetnie – ucieszył się rozmówca Johna.

– Ściągnę go do Hollister w ciągu dwóch tygodni.

– W porządku. To co, jesteśmy umówieni?

– Tak. Przygotuję dokumenty.

John zakończył rozmowę. Czuł się znacznie lepiej. Co prawda nie wierzył, że Tarleton przyjmie wymówienie i grzecznie odejdzie z pracy. Liczył jednak na to, że facet wystraszy się ujawnienia innych jego grzechów. Na samą myśl o tym, że ten nędzny typ próbuje dobierać się do Sassy, Johnowi robiło się słabo.

Zadzwoił do architekta i poprosił go, by przyjechał nazajutrz na ranczo; chciał zamówić plan budowy stodoły i obory. Wynajął elektryka, żeby wymienił w domu przewody i zajął się instalacją w pomieszczeniach

gospodarczych. Zatrudnił sześciu nowych kowbojów oraz inżyniera. W porozumieniu z głównym biurem w Medicine Ridge ustalił wynagrodzenie dla pracowników, następnie zlecił naprawę ogrodzenia i wiercenie nowej studni. Zadzwoił też do Gila z prośbą o przysłanie speców od energii słonecznej.

Załatwiwszy najpilniejsze sprawy, wybrał się do Hollister, by zobaczyć, co się dzieje w sklepie. Detektywowi, z którego usług korzystał, udało się odkryć, że zanim Tarleton zamieszkał w Montanie, trzy kobiety oskarżyły go o molestowanie seksualne. Niestety, w żadnym przypadku nie zapadł wyrok skazujący. Ale może wystarczą same oskarżenia? W każdym razie, pomyślał John, ma się na co powołać. Oczywiście, gdyby zaszła taka potrzeba.

Zaszła. Od razu po wejściu do sklepu John zorientował się, że dojdzie do ostrej wymiany zdań. Tarleton łypnął na niego z wściekłością, po czym wrócił do przerwanej rozmowy z klientem.

– Do jasnej cholery! – warknął, gdy klient opuścił sklep. – Co się dzieje? Co twój szef nagadał mojemu? Dlaczego mój powiedział, że może oddać sklep w leasing, ale pod warunkiem, że się mnie pozbędzie?

John wzruszył ramionami.

– To nie moja sprawa. O wszystkim decyduje mój pracodawca.

– Ale on nie ma powodu, żeby mnie zwalniać! – zdenerwował się Tarleton. – Podam go do sądu! Obu tych skurwieli podam!

– A podaj, podaj. Wtedy mój szef pofatyguje się do biura prokuratora w Billings i pokaże mu dokumenty sądowe z twojej ostatniej rozprawy.

W ciągu kilku sekund twarz Tarletona z czerwonej stała się kompletnie biała.

– On... Co... co takiego?

John wykrzywił wargi w złowrogim uśmiechu.

– Ja z kolei postaram się namówić twoją obecną pracownicę... – wskazał głową na Sassy – żeby opowiedziała w sądzie o tym, jak ją traktowałeś. Może, podobnie jak inne kobiety, zechce wnieść przeciwko tobie oskarżenie?

Tarleton wyglądał jak przestraszony chłopiec.

– Dobrze ci radzę – ciągnął John – spieprzaj stąd, póki możesz. Mój szef na pewno się nie zawaha. Ma dwie córki. – Zmrużył oczy. – Kiedyś jeden z naszych kowbojów usiłował zgwałcić w stodole młodą pokojówkę. Dostał trzy lata w zawieszeniu na pięć. Widzisz, zatrudniamy doskonałych prawników...

– My? Czyli kto? – spytał cicho Tarleton.

– Kieruję ranczem, które należy do dużej korporacji. Tarleton zacisnął zęby.

– To znaczy, że wywalasz mnie z roboty?

– Jeżeli odejdiesz na własną prośbę, zwrócimy ci koszty przeprowadzki z powrotem do Billings i damy odprawę. A co ważniejsze, zaoszczędzisz sobie nieprzyjemności w postaci kolejnych procesów.

Brzuchacz zmarszczył czoło, rozważając swoje opcje. Po chwili z butną miną popatrzył na Johna.

– A co mi tam! – warknął. – Zresztą kto by chciał mieszkać na takim zadupiu?

Okręciwszy się na pięcie, ruszył na zaplecze. Sassy obserwowała zajście z nieskrywaną ciekawością. Spozrzegłszy, jak John się jej przygląda, oblała się rumieńcem i czym prędzej wróciła do pracy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Cassandra Peale powtarzała sobie, że rozmowa, której przed chwilą była świadkiem, w najmniejszym stopniu jej nie dotyczy. Całej nie słyszała, tylko fragmenty. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mężczyźni się kłócą. W pewnym momencie obaj popatrzyli w jej kierunku. Stropiła się. Nie stać jej było na utratę pracy, kiedy miała na utrzymaniu umierającą matkę oraz młodą podopieczną mamy, Selene.

Zaczęła obgryzać paznokcieć. Trzy lata temu matka skończyła sześćdziesiąt lat. Cassandrę urodziła dość późno. Mieszkali na ranczu, dopóki ojciec nie zakochał się w młodej kelnerce pracującej w miejscowej kawiarni. Wtedy zostały same. Ojciec porzucił żonę oraz córkę, zabrał oszczędności i razem z ukochaną wyruszył w świat. Matka musiała sprzedać bydło oraz większość ziemi, a także zwolnić kowbojów, których zatrudniała. Jeden z nich, ojciec Selene, upił się do nieprzytomności i wpadł samochodem do rzeki, osierocając dziecko.

Moje życie to opera mydlana, pomyślała Sassy. I jak w każdej operze mydlanej, w mojej też występuje czarny charakter. Zerknęła spod oka na szefa. Brakuje mu tylko ciemnego zarostu i spluwy. Facet uczynił jej życie koszmarem. Wiedział, że ona zniesie wszystko, że nie odejdzie z pracy. Co rusz na nią wpadał, niby to niechcący, czasem próbował ją obmacywać.

Nienawidziła jego umizgów. Nigdy nie miała chłopaka. Chodziła do maleńkiej jednoizbowej szkoły, do której uczęszczały dzieci w różnym wieku. W wieku Sassy było dwóch chłopców i dwie dziewczyny, obie ładniejsze od niej, więc wzbudzające u chłopców większe zainteresowanie. Raz, kiedy była w ostatniej klasie, na pierwszą i jedyną randkę w życiu zaprosił ją siostrzeniec nauczycielki, który przyjechał do ciotki z wizytą. Ale

mama Sassy sprzeciwiła się; uważała, że Sassy nie powinna wychodzić z młodzieńcem, którego właściwie nie zna. Nie miało to większego znaczenia. Sassy nigdy nie czuła tego, co bohaterki książek, które czytała: szybkiego bicia serca, tęsknoty, uniesienia. Nie знаła smaku pocałunku. Całe jej doświadczenie erotyczne ograniczało się do wstrętnego obmacywania w wykonaniu brzuchacza za ladą.

Skończyła ścierać kurze z półek. Marzyła o tym, by mieć miłego przystojnego szefa, oczywiście nieżonatego, który się w niej zakocha. Kogoś takiego jak ten nowy zarządca na ranchu Bradbury'ego. Podobał się jej, ale ona jemu chyba nieszczególnie. Prawdę mówiąc, ignorował ją. Zresztą tak jest lepiej. Skoro ma dwie osoby na utrzymaniu, to gdzie by w swoim zapracowanym życiu znalazła czas na randki? Odłożyła na bok ściereczkę.

– A tam? Zostawisz ten kawałek nietknięty?

Obróciwszy się, popatrzyła w uśmiechnięte niebieskie oczy.

– Słucham? – Zaczerwieniła się.

John roześmiał się. Różniła się od wytwornych dowcipnych kobiet, które znał. Była słodka, naiwna i nie pasowała do pełnego zgiełku współczesnego świata. Jej urok go zniewalał.

– Spytałem, czy tamten kawałek półki zostawisz zakurzony – odparł. – Oczywiście żartowałem, bo wszystko lśni.

Obejrzała się na półkę, którą wskazał, i nieśmiało spuściła wzrok.

– Pewnie gdzieś kurz został. Nie wszędzie sięgam, a w sklepie nie ma drabiny.

– Jakaś skrzynia by się znalazła.

– To niebezpieczne. – Uśmiechnęła się. – Mogłabym się na nią wdrapać i zacząć gadać jak jakiś trybun ludowy.

– Tylko nie to! Za dużo mamy różnych przemów, a kampania prezydencka jeszcze się na dobre nie rozkręciła.

– Tak, trochę irytujący bywają ci nasi politycy – przyznała Sassy. – Co prawda, u mnie w domu rzadko ogląda się telewizję. Kiedy w dach uderzył piorun, obraz całkiem się rozjechał. Czyli nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Dlaczego nie kupisz nowego telewizora?

– Bo żadnego za dolara nie widziałam.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał sens jej wypowiedzi. On, który bez zmrżenia oka płacił złotą kartą kredytową za najnowszy odbiornik plazmowy, nie zdawał sobie sprawy, że dla wielu ludzi nawet mały telewizor może być zbyt dużym wydatkiem.

Skrzywił się.

– Przepraszam. Przyzwyczailem się, że wchodzę do sklepu i biorę, co mi się podoba.

– Nie aresztują za to? – spytała poważnym tonem, ale zdradziło ją figlarne spojrzenie.

Wybuchnął śmiechem.

– Jakoś nie. Ale może miałem szczęście? Co do szefa, to na pewno, bo całkiem hojnie mnie wynagradza.

– No tak, skoro cię stać na nowy telewizor. – Sassy westchnęła. – A ten twój szef nie potrzebuje przypadkiem sprzątaczkę, specjalistkę od ścierania kurzu?

– Możemy go spytać.

– Żartuję. Wolę pracę, którą znam. W sklepie. – Zerknęła przez ramię na Tarletona, który łypał na nich gniewnie. – Lepiej wróć do swoich obowiązków, zanim wyrzuci mnie z roboty.

– Nie może.

– Co nie może?

– Wyrzucić cię z roboty. Za dwa tygodnie jego miejsce zajmie ktoś inny. Nowy kierownik.

– Ojej. – Posmutniała.

– Chyba mi nie powiesz, że będziesz tęsknić za tym grubasem?
Ponownie zaczęła obgryzać paznokcie.

– Nie o to chodzi. Po prostu może ten nowy nie będzie chciał mnie zatrzymać. Może...

– Nic ci nie grozi.

– Skąd wiesz?

– Bo nowy kierownik pracuje dla mojego szefa, a szef przykazał, żeby nikogo nie zwalniać.

– Naprawdę? – Na jej twarzy odmalowała się ulga.

– Słowo honoru.
Zerknęła na Tarletona i aż się skuliła.

– Czy ktoś wspominał twojemu szefowi o tym, jak Tarleton... mi się naprzykrza? – spytała zaniepokojona.

– Tego nie mogę wykluczyć.

– Ojej, on się zemści. To taki typ. Kiedyś pewien klient zachował się nieuprzejmie. W rewanżu Tarleton nagadał bzdur o jego żonie. Kobieta omal przez to nie straciła pracy.
John poczuł, jak krew się w nim burzy.

– Staraj się jakoś wytrzymać te dwa tygodnie – rzekł. – A gdyby facet zaczął ci się narzucać, zadzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy. – Sięgnął do portfela, kiedy nagle uświadomił sobie, że zwykły kowboj, a takiego przecież udawał, nie nosi wizytówek. – Masz kartkę i długopis?

Sassy oderwała kawałek papieru z leżącej na ladzie rolki do pakowania i podała Johnowi razem z długopisem. Zapisał swój numer.

– Nie bój się. Facet ma dość kłopotów; nie będzie chciał dokładać sobie nowych.

– Jakich kłopotów?

– Nie mogę ci nic powiedzieć. To poufne informacje. Ale lepiej, żeby więcej nie rozrabiał. No dobra, potrzebuję jeszcze paru drobiazgów. – Wyciągnął z kieszeni listę.

Kiedy Sassy odeszła, by zrealizować zamówienie, John postanowił zamienić słowo z Tarletonem.

– Podobno lubisz mścić się na ludziach, którzy ci zajdą za skórę – powiedział, mrużąc oczy. – Więc uprzedzam cię lojalnie: jeśli spróbujesz dobrać się do tej dziewczyny, będziesz miał do czynienia ze mną. A ja nie grożę ludziom policją czy sądem. Ja po prostu wyrównuję rachunki. – Ton jego głosu i lodowate spojrzenie odstraszyło już niejednego bandziora.

Brzuchacz usiłował przybrać butną minę, ale nie bardzo mu to wychodziło. John Taggert był sporo od niego młodszy, wyższy i chociaż szczupły, to jednak doskonale umięśniony. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który boi się fizycznej konfrontacji.

– Dobierać? Do niej? Musiałbym być ślepy – mruknął pogardliwie grubas. – Odpracuję tu tyle, co muszę, i spieprzam do Billings; przynajmniej tam mieszkają bardziej cywilizowani ludzie.

– Świetny pomysł. Spieprzaj.

Okręciwszy się na pięcie, John skierował się do Sassy. Była jeszcze bardziej zdenerwowana niż wcześniej.

– Co mu powiedziałaś? – spytała niepewnie, bo Tarleton dosłownie miażdżył ją wzrokiem.

– Nic takiego. – Uśmiechnął się. – To co, skompletowałaś moje zamówienie?

– Prawie – odparła, usiłując skupić się na pracy. – Nie mamy tej trawy, której potrzebujesz. Ci obok w sklepie z narzędziami sprowadzą ją taniej, za to my szybciej.

– Cena nie gra roli, natomiast czas zdecydowanie tak. Mój szef eksperymentuje z paszami. Szuka naturalnych sposobów na zwiększenie masy zwierząt. Uważa, że stare rodzaje traw mają znacznie większą wartość odżywczą niż te nowoczesne hybrydy.

– Chyba ma rację – rzekła dziewczyna. – Metody organiczne zyskują coraz większą popularność. Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu ludzi w okolicy uprawia tak zwaną żywność ekologiczną.

– Aha, przypomniało mi się. Zamierzam posiać fasolę, więc zapakuj mi mydło owadobójcze.

Sassy zawahała się.

– Mów, śmiało – zachęcił ją.

– Jedna z naszych miejscowych ogrodniczek przestała je stosować. Mówi, że tego typu środki świetnie nadają się do hodowli pomidorów czy ogórków, ale fasola i kukurydza wymagają czegoś mocniejszego. Przekonała się na własnej skórze. Ja zresztą też, kiedy szkodniki wyżarły mi całe pole. – Więc co radzisz?

Zaczerwieniwszy się, położyła na ladzie worek z silnie działającym, lecz bezpiecznym dla otoczenia preparatem.

Tarleton przyglądał się spod oka ćwierkającej parze. A więc Sassy podoba się ten cholerny kowboj? Psiakrew! Narastała w nim wściekłość. Dałby sobie rękę uciąć, że nowy zarządca na dawnym ranczu Bradbury'ego rozmawiał z kimś na jego temat, a potem przekazał informację

McGuire'owi. Jak na zwykłego kowboja facet jest zbyt pewny siebie. Jakim prawem wtrąca się do nie swoich spraw? Przez jego wścibstwo i nadgorliwość on, Tarleton, znowu traci robotę. Żonie znudziły się przeprowadzki. Kto wie, może uzna, że ma dość? Może go rzuci? Wszystko zaczęło się tego dnia, gdy John Taggert wszedł do sklepu. Niech go piekło pochłonie! Niech wpadnie do studni i się utopi!

Przez chwilę wodził wzrokiem za Sassy. Jej szczupłe drobne ciało przyprawiało go o dreszcze. Dziewczyna nie należała do tych, co się ostro bronią, a John Taggert nie będzie jej przecież pilnował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tarleton uśmiechnął się chytrze. Skoro i tak wywalają go z roboty, to co ma do stracenia? Równie dobrze może się zabawić.

Pod koniec tygodnia Sassy dosłownie leciała z nóg. Wracała do domu potwornie zmęczona. Tarleton wynajdywał dla niej coraz więcej zajęć, głównie takich wymagających siły fizycznej. Na przykład kazał ułożyć na regałach dwunasto- i dwudziestokilogramowe torby z jedzeniem dla kur, świń, psów i koni. Owszem, Sassy potrafiła unieść dwadzieścia kilogramów, ale kosztowało ją to mnóstwo wysiłku. Chętnie by się komuś pożałowała, ale wiedziała, że to nic nie da. Tarleton mścił się za utratę pracy. W dodatku bez przerwy wodził za nią wzrokiem.

Tego wieczoru matka leżała na kanapie, oglądając telewizję. Selene siedziała obok na podłodze, bawiąc się wycinankami. Na widok Sassy poderwała się na nogi i przybiegła ją uściskać.

– Jak się masz, żabko? – Sassy pocałowała dziewczynkę w policzek.

– Bawię się w Dorę Odkrywcę – poinformowała siostrę małą blondyneczką. – Philippa przyniosła mi ją do szkoły.

Philippa była córką jednej z nauczycielek, uroczym dzieckiem, które zawsze dzieliło się z Selene zabawkami. Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że Sassy ledwo stać na ubranie dla małej, a co dopiero mówić o zabawkach.

– Tak? To miło z jej strony.

– Powiedziała, że mogę sobie wycinanki Dory zatrzymać. Sassy pogłaskała Selene po jasnych lokach. Matka uniosła głowę znad kanapy.

– Mama Philippy jest cudowną kobietą.

–Moja też. – Sassy pochyliła się i cmoknęła matkę w czoło.

– Ciężki dzień? – spytała pani Peale.

Sassy uśmiechnęła się. Nie chciała martwić matki swoimi problemami. Matka miała dość własnych. Choroba znajdowała się w stanie remisji, ale lekarz ostrzegał, że należy liczyć się ze wznową. Mimo systematycznie pojawiających się w prasie artykułów na temat nowych leków i nowych metod leczenia rak jest groźnym przeciwnikiem, który stale zbiera żniwo.

– Och, bywały gorsze – odparła, siłąc się na lekki ton. –To co? Zrobić naleśniki z bekonem na kolację?

– Wczoraj je jadłyśmy – jęknęła Selene.

– Wiem, żabko. – Sassy ponownie pocałowała dziewczynkę. – Niestety, na frykasy nas nie stać.

– Przepraszam. – Selene spuściła z zawstydzeniem głowę. – Ja naprawdę lubię te twoje placuszki.

– Żałuję, że mamy taki ubogi jadłospis. Gdyby tylko pojawiła się jakaś lepiej płatna praca, na pewno bym się do niej zgłosiła.

– Liczyłam, że pójdziesz na studia. – Pani Peale posmutniała. – A przynajmniej, że skończysz szkołę zawodową. Natomiast przeze mnie tkwisz w tej dziurze i wykonujesz głupią robotę, która nie daje ci żadnych możliwości awansu.

Sassy podparła się pod boki i uniosła dumnie brodę.

– Ja, droga mammo, czekam na księcia z bajki – oznajmiła. – Wierzę, że któregoś dnia przyjedzie na białym koniu, trzymając w ręce wielki bukiet orchidei oraz pierścionek zaręczynowy.

– Życzę ci tego, kochanie. Nikt bardziej od ciebie nie zasługuje na szczęście.

Sassy błysnęła zębami w uśmiechu.

– Kiedy znajdę tego księcia, wtedy kupimy ci takie łóżko, które będzie się podnosiło i opuszczało wedle twojej woli. A Seline dostanie najpiękniejszą sukienkę i buciki na świecie. I jeszcze kupimy nowy telewizor, na którym ludzie nie mają zielonych twarzy – dodała, krzywiąc się na widok kolorów na ekranie.

Marzyć każdemu wolno, pomyślała. Marzenia nic nie kosztują. Popatrzyła na matkę i przyszywaną siostrę; były całą jej rodziną. I nagle zrozumiała, że woli te dwie cudowne istoty od worów pieniędzy. Po chwili westchnęła cicho. Wory worami, ale trochę drobniaków by się przydało. Bo księżę z bajki jest, jak nazwa wskazuje, postacią nierzeczywistą. Bajkową.

John zatwierdził przygotowany przez architekta plan budowy. Kilka dni później ciężarówki zaczęły zwozić na teren rancza materiały: drewno, stal, piasek, betonowe bloki, cegły, zaprawę murarską, sprzęt i inne tego typu rzeczy. Całość miała kosztować kilka milionów dolarów. W okolicy huczało. Budowa oznaczała pracę dla miejscowych. Ludzie, którzy codziennie dojeżdżali do Billings, mogli zatrudnić się na miejscu u Gila Callistera.

John uśmiechnął się w duchu; podobał mu się entuzjazm pracowników. Z początku nie był pewien, czy w małym miasteczku zdoła

znaleźć tylu chętnych do pracy. Ale chętnych nie brakowało, w dodatku znaczna część kandydatów miała wysokie kwalifikacje.

Większość czasu spędzał na ranczu. Z doświadczenia wiedział, że nie wolno zostawiać kogoś na straży z poleceniem, by wszystkiego pilnował, bo zwykle pojawiają się nieprzewidziane zdarzenia, z którymi ów wyznaczony człowiek sobie nie poradzi.

Miał wyrzuty sumienia, że nie zagląda do sklepu, by sprawdzić, jak się Sassy miewa. Tarletonowi zostały jeszcze dwa dni. Nowy kierownik, Buck Mannheim, przyjechał już do miasteczka, wynajął pokój u jakiejś wdowy i powoli przejmował obowiązki. Z tego, co mówił Johnowi, Tarleton nie ułatwiał mu życia. Był nieprzyjemny, wydawał Sassy wiele niepotrzebnych zleceń. Buck najchętniej zwróciłby mu uwagę, ale dopóki Tarleton pełnił funkcję kierownika, nie bardzo chciał się wtrącać. Bądź co bądź przyjechał do Hollister na prośbę Gila, po to, by prowadzić sklep, a nie po to, by użerać się z wojowniczo nastawionym do świata gościem, który za dwa dni i tak pożegna się z robotą.

– W porządku, ja się wszystkim zajmę – powiedział John. – Muszę i tak wpaść na pocztę po znaczki.

– W głowie mi się nie mieści, jak można dziecko traktować tak brutalnie.

– Sassy nie jest dzieckiem, Buck.

– Wiem, ale ma dopiero dziewiętnaście lat. Tyle co moja wnuczka.

– Sprawia wrażenie starszej.

– Człowiek szybciej dojrzewa, kiedy ciąży na nim odpowiedzialność – rzekł Buck. – A Sassy przydałaby się pomoc. Ta mała, którą matka Sassy adoptowała, nie ma w czym chodzić do szkoły. Wszystko, co Sassy zarabia, idzie na życie. A niewielka renta, jaką matka dostaje, na leki.

Johnowi zrobiło się głupio, że nie zainteresował się sytuacją rodzinną Sassy. Nigdy nie angażował się w życie prywatne pracowników, a wygląda na to, że dziewczyna faktycznie jest zdana wyłącznie na siebie.

– Wspomniałeś, że matka Sassy jest rozwódką. Nie wiesz, gdzie się podziewa ojciec? Nie mógłby jakoś pomóc? Może Sassy już się nie należą alimenty, ale w końcu to jego córka.

– Facet wyjechał z jakąś młodą babką – odrzekł Buck. – Po prostu wyszedł z domu i więcej się nie pokazał. Od czasu rozvodu ani razu nie dał znaku życia. Nie zadzwonił, nie napisał. Z tego, co ludzie mówią, był dobrym mężem i ojcem. Ale nagle stracił głowę dla kelnerki. Bywa.

– Mam nadzieję, że babka oskubie go do cna – mruknął John. – Jak się ma dziecko, nie wolno po prostu zniknąć.

– Dziewczyna nie narzeka na swój los. – W głosie Bucka zabrzmiała nuta podziwu. – To naprawdę bardzo dzielna młoda osoba. Ciężko pracuje na każdego dolara.

– Ale nie jest kulturystką, nie powinna nosić dwudziestokilowych worów. Psiakrew, pochłonęła mnie budowa stodoły, ale postaram się zajrzeć do Sassy.

– To dobrze. Na pewno się ucieszy.

Wszedł do sklepu i z miejsca uderzyła go cisza. Był środek dnia, a wewnątrz nie było żywego ducha. Ani klientów, ani pracowników. Zmarszczył z namysłem czoło. Ciekawe, gdzie jest Sassy. Powinna być za ladą...

Nagle usłyszał jakiś hałas. Ruszył niepewnie w jego kierunku. Po chwili dobiegł go przytłumiony krzyk.

Drzwi prowadzące na zaplecze były zamknięte od wewnątrz. John natychmiast domyślił się, kto je zamknął i dlaczego. Cofnął się i z całej siły kopnął butem w klamkę. Drzwi niemal wypadły z zawiasów.

Tarleton wepchnął Sassy w alejkę pomiędzy worki z paszą dla bydła i usiłował ją pocałować. Dysząc głośno, próbowała się oswobodzić.

– Ty nędzny skur... – ryknął John i chwyciwszy grubasa za kołnierz, zrzucił go z Sassy.

Z trudem łąpała powietrze. Bluzkę miała podartą, ramiona zaczerwienione. Skoro ten drań zamknął drzwi, przypuszczalnie nie zamierzał poprzestać na pocałunkach. Gdyby nie interwencja Johna, zapewne dopuściłby się gwałtu. Na samo wspomnienie jego grubych wilgotnych warg ogarnęły Sassy mdłości. Wierzchem dłoni przetarła usta.

– Wszystko w porządku? – spytał John.

– Tak. Dzięki tobie – wysapała, spoglądając z nienawiścią na brzuchacza.

John również skierował na niego wzrok. Zaniepokojony Tarleton przez moment tkwił bez ruchu. Ocknął się dopiero, gdy John ruszył w jego stronę.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknął. – Nie...

John wymierzył cios w szczękę grubasa. Ten wyleciał przez otwarte drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

– Co tu się dzieje? – spytał stojący w sklepie mężczyzna w garniturze.

– Pan McGuire? – Siedząc na podłodze, Tarleton potarł obolałą brodę.
– On, ten facet, się na mnie rzucił. Trzeba wezwać policję!

– Tam na zapleczu jest wystraszona dziewczętnastolatka w podartej bluzce – oznajmił gniewnie John. – Mam mówić dalej?

McGuire, blokując Tarletonowi drogę, wyciągnął komórkę i wystukał numer.

– Przyjeżdżaj natychmiast – rzekł do słuchawki. – Tarleton dobierał się do Sassy. Tak. Nie, nie pozwolę mu zwiać. – Rozłączył się. – Mogłeś, draniu, wrócić do Billings – popatrzył na bladego jak kreda grubasa na podłodze – ale musiałeś spróbować jeszcze raz, prawda? Więc teraz, zamiast do Billings, trafisz za kratki!

– Ona mnie prowokowała! To wszystko jej wina!

– Niewiniątko, psiakrew! – mruknął John i skierował się ponownie na zaplecze.

Sassy stała oparta o siodło i podartą bluzką próbowała zasłonić stanik. Nie wahając się, John dał jej swoją koszulę, po czym ujął w ręce mokrą od łez twarz dziewczyny. Usta miała posiniaczone, włosy potargane, oczy spuchnięte od płaczu.

– Cholerna stodoła – szepnął. – Przepraszam.

– Za co? – spytała łkając. – To nie twoja wina.

– Moja. Powinienem był przewidzieć, jak on się zachowa.

Rozległ się dzwonek do drzwi, potem głośne kroki oraz rozmowa przerywana okrzykami sprzeciwu. Po paru minutach do pokoju na zapleczu zapukał wysoki szczupły mężczyzna w mundurze policjanta i kowbojskim kapeluszu. John odsunął się, odsłaniając Sassy. Policjant zacisnął zęby.

– Wszystko w porządku, Sassy? – zapytał.

– Tak, szeryfie. On... zaszedł mnie od tyłu, kiedy układałam towar na półce – rzekła, wskazując na Tarletona. – Zaczął mnie całować, rozpinać mi bluzkę... – Głos się jej załamał. – Próbował... próbował mnie... – Nie była w stanie wydusić z siebie słowa „zgwałcić”.

– Już nigdy nie zrobi ci nic złego. Przyrzekam. Później, kiedy poczujesz się lepiej, wpadnij do mojego biura złożyć zeznania. Dobrze?

– Dobrze.

Szeryf Graves spojrział na Johna.

– To pan dał mu w zęby? – spytał, wskazując głową na grubasa, który wciąż siedział na podłodze.

– Owszem. – Oczy Johna płonęły furia.

Mrugnawszy do Sassy, szeryf wrócił do sklepu. Podciągnął Tarletona na nogi i informując go o jego prawach, zakuł go w kajdanki.

– Niech pan mnie puści! Za dwa dni wracam do Billings! Ona kłamie! Ja ją tylko pocałowałem, ale to jej wina! Sprowokowała mnie, zwabiła na zaplecze! I żądam, żeby pan aresztował tego krewkiego kowboja! Uderzył mnie! Zaatakował!

Nikt nie zwracał na grubasa uwagi, szeryf zaś miał taką minę, jakby sam miał chęć mu przyłożyć. Wreszcie niedoszły Romeo ucichł.

– Psiakrew! Nigdy więcej nie zatrudnię nikogo obcego – oznajmił McGuire.

– Czasem jadowita żmija potrafi się świetnie zamaskować – powiedział Graves. – Wszyscy popełniamy błędy. No dobra, panie Tarleton, idziemy. Do czasu procesu pomieszka pan w pięknej ciasnej celi.

– Mówię panu, ona łże! – Brzuchacz nie dawał za wygraną.

Sassy wyłoniła się z pokoju na zapleczu. Na jej widok mężczyźni wciągnęli z sykiem powietrze. Nawet Tarleton przestał się wydierać.

– Mogę mu coś zakomunikować, szeryfie? – zapytała.

– Oczywiście.

Zmrużywszy oczy, podeszła go Tarletona, podniosła rękę i z całej siły wymierzyła mu policzek. Po czym okręciła się na pięcie, sięgnęła po worek z ziarnem kukurydzy, którego wcześniej nie zdążyła umieścić na półce, i wróciła do przerwanej pracy.

Mężczyźni przenieśli wzrok z dziewczyny na Tarletona. Wszyscy trzej mieli identyczne miny.

– Wynajmę najlepszego obrońcę!

– Przyda ci się – wycedził przez zęby John.

– A ciebie oskarżę o pobicie! – Na wszelki wypadek grubas cofnął się krok.

– Prawnicy zatrudnieni przez Callistera na pewno się ucieszą. Jeden z nich, absolwent Harvardu, przez dziesięć lat pracował jako prokurator. Jego specjalizacją były sprawy o molestowanie seksualne.

Tarletonowi krew odpłynęła z twarzy. Szeryf wyprowadził go na zewnątrz. Właściciel sklepu wsunął ręce do kieszeni.

– Jak ja jej to wynagrodzę?

– Mógłby pan jej podnieść pensję – zasugerował John.

– Z przyjemnością... Ten nowy kierownik, Buck Mannheim, to mądry gość. Sporo się od niego nauczyłem w trakcie jednej rozmowy telefonicznej. John pokiwał głową.

– Za wcześnie przeszedł na emeryturę. Sześćdziesiąt pięć lat to jeszcze młody wiek... – Zerknął za siebie. – Powinien ją obejrzeć lekarz.

– Czy Tarleton... ?

– Nie. Ale zgwałciłby, gdybym się w porę nie zjawił. – Na samą myśl zrobiło mu się słabo. – Co za skurwiel! A ze mnie też krety! Powinienem być wziąć pod uwagę, że Tarleton spróbuje się zemścić!

– Ja także mogłem o tym pomyśleć – przyznał McGuire. – Niech pan nie robi sobie wyrzutów. Doktor Bates ma gabinet koło poczty. Przyjmie Sassy. Opiekuje się nią, odkąd przyszła na świat.

– Zaraz ją tam zaprowadzę.

Na dźwięk zbliżających się kroków Sassy obróciła się. Wyglądała strasznie, ale już nie płakała.

– Czy pan McGuire zamierza mnie zwolnić? – spytała z niepokojem.

– Za to, że jakiś bydlak chciał cię zgwałcić? – zdumiał się John. –

Wprost przeciwnie, wspomniał, że należy ci się podwyżka. Ale na razie prosił, abym cię zabrał do lekarza.

– Przecież nic mi nie jest – zaprotestowała. – Poza tym mam mnóstwo pracy.

– Praca nie zajac, nie ucieknie.

– Nie chcę iść do lekarza. John wzruszył ramionami.

– Jesteś w mniejszości, to po pierwsze. A po drugie, mam sposoby na buntowników.

Oparła ręce na biodrach.

– Sposoby? Ciekawe jakie?

Uśmiechnął się pod nosem. Zanim Sassy zdołała ponownie zaprotestować, wziął ją na ręce i ruszył w stronę drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Przestań! Puść mnie! – zawołała ku rozbawieniu przechodnia, który wczesnym rankiem wybrał się na zakupy do pobliskiego marketu.

– Puściłbym, ale skoro nie chcesz iść dobrowolnie... – Wzruszył ramionami. – Jesteś bardzo ładna, wiesz?

Przestała się szamotać.

– Słucham?

– Powiedziałem, że jesteś bardzo ładna. I waleczna. Żałuję jedynie, że nie wybiłaś Tarletonowi zębów. – Nagle spoważniał. – Zanim ten łobuz trafi do kryminału, powinno mu się wytatuować na czole, za co siedzi. Inni więźniowie dopiero daliby mu popalić!

Obejmowała Johna za szyję.

– Najgorsze, że niczego się nie spodziewałam – rzekła. – Wepchnął mnie na zaplecze, zamknął drzwi. Nawet nie zdążyłam krzyknąć. Potem próbował zedrzeć ze mnie ubranie. Bałam się, że mu nie ucieknę. – Z trudem przełknęła ślinę. – Mężczyźni są tacy silni, nawet ci brzuchaci.

– Powinienem był to przewidzieć – mruknął John. – Tacy jak Tarleton nie poddają się bez walki. Mogło się zakończyć dużo gorzej.

– Uratowałeś mnie.

Popatrzył w jej duże zielone oczy. Uśmiechnęła się nieporadnie.

– Wiesz, to śmieszne. Opowiadałam wczoraj Selene, mojej przyszywanej siostrzyczce, że któregoś dnia pojawi się w moim życiu księżę z bajki, który wybawi mnie od nieszczęścia. – Przyjrzała mu się uważnie. – Nawet wyglądasz jak księżę.

– Jestem za wysoki. Zwykle księżęta są niscy i krepi.

– Nie ci w filmie.

- Ale ci w prawdziwym życiu.
- Pewnie nie znasz ani jednego.

Ha, zdziwiłaby się! Wielokrotnie wraz z bratem rozmawiali z koronowanymi głowami Europy, ale oczywiście nie mógł się do tego przyznać.

Przystanąwszy, jedną ręką pchnął drzwi gabinetu, po czym z Sassy w ramionach podszedł do siedzącej za szybą recepcjonistki.

– Mam tu nagły przypadek – oznajmił cicho. – Ta dziewczyna została napadnięta...

– Sassy? – Recepcjonistka poderwała się z miejsca. – Proszę ją tu położyć – wskazała pustą salę – a ja zaraz wezwę doktora Batesa!

Doktor Bates był żwawym staruszkiem o złotym sercu. Poprosił Johna, by zaczekał na zewnątrz, a sam przystąpił do badania pacjentki. John krążył po korytarzu, studiując zawieszane na ścianie rysunki przedstawiające anatomię człowieka. Po kilku minutach lekarz otworzył drzwi i zaprosił Johna z powrotem do pokoju.

– Na szczęście oprócz siniaków i lekkiego szoku nic jej nie dolega – rzekł. – Wiele bym jednak dał, żeby łobuz spędził kilka najbliższych lat za kratkami.

– Ja też. I dopilnuję, żeby tak się stało.

– Świetnie. – Lekarz skinął głową, po czym zwrócił się do Sassy, która siedziała blada i milcząca. – Zrobię ci zastrzyk na uspokojenie. Masz iść do domu i leżeć do wieczora. – Podniósł rękę, widząc, że dziewczyna zamierza się sprzeciwić. – Tylko nie protestuj. Selene jest w szkole, a mama poradzi sobie kilka godzin bez twojej pomocy.

Kiedy, wychyliwszy głowę za drzwi, doktor Bates zaczął wydawać pielęgniarce polecenia, John skierował wzrok na Sassy. Szkoda, że dzieli ich

tak duża różnica wieku. Całe życie szukał kobiety, która wzbudzałaby w nim nie tylko pożądanie, ale i zwykłą sympatię. Sassy miała w sobie coś, co go fascynowało i urzekało.

Zmrużył oczy. Drobna, szczupła, a zarazem pociągająca. Podobały mu się widoczne pod bluzką jędrne piersi. Pewnie są teraz posiniaczone. Na samą myśl o facecie znów miał ochotę mu przyłożyć. Chociaż ten drań jej nie zgwałcił, to jednak czuła się zhańbiona.

Sassy skuliła się pod spojrzeniem Johna. Czyżby uważał, że jest winna? Że faktycznie sprowokowała Tarletona? Że zasłużyła na to, co ją spotkało?

Zawstydzona opuściła wzrok. Po chwili lekarz wrócił ze strzykawką w dłoni. Nawet nie poczuła ukłucia.

– A teraz migiem do domu, zanim lek zacznie działać, bo inaczej zaśniesz gdzieś w rowie. – Doktor Bates zerknął na Johna. – Mógłby pan... ?

– Oczywiście. – John uśmiechnął się do dziewczyny, rozwiewając jej obawy. – Chodź, odwiozę cię.

– Ale przyszedł towar... – zaczęła protestować.

– Jutro się nim zajmiesz. A jeśli Buck będzie potrzebował pomocy, przyślę mu kilku moich ludzi.

– Przecież troska o sklep nie należy do twoich obowiązków.

– Należy, należy. Mówiłem ci, że mój szef wziął sklep w dzierżawę?

– Skoro tak... – Obróciła się do lekarza. – Dziękuję, doktorze.

Bates odwzajemnił uśmiech pacjentki.

– Staraj się zapomnieć o tym, co się stało – poradził jej. – A gdybyś nie potrafiła, gdyby śniły ci się jakieś koszmary, to wpadnij do mnie. Znam świetną psycholożkę, która pracuje w szkole, ale przyjmuje również prywatnie. Poproszę ją, żeby z tobą porozmawiała.

– Nic mi nie będzie.

John skinieniem głowy pożegnał lekarza i wyszedł z Sassy na korytarz.

Siedziała w dziuple, na miejscu pasażera, z zafascynowaniem spoglądając na dziesiątki przycisków i pokręteł.

– Nigdy nie widziałam tylu przyrządów... Uśmiechnął się leniwie.

– Komputer przydaje się podczas spędu bydła, telefon z technologią Bluetooth jest superwygodny, mogę się łączyć z internetem, sprawdzać mejle, no a GPS wiadomo...

– Pewnie strasznie dużo kosztuje takie auto...

– Mieści się w średnim przedziale cenowym. Mój szef nie skąpi na rzeczy potrzebne do pracy. Ani na pensję dla zastępcy kierownika sklepu. Spojrzenie Sassy powoli stawało się ociężałe.

– To pan Mannheim będzie miał zastępcę?

– Owszem, ciebie. A awans oznacza podwyżkę.

Wstrzymała oddech.

– Mówisz poważnie? – Mogłaby kupić kilka rzeczy do domu, coś z ubrania dla Selene. – Nie wierzę!

– No to uwierz. I uważaj, żebyś nie spadła.

– Chyba ten lek zaczyna działać. – Usiadła wygodniej i przyłożywszy rękę do piersi, skrzywiła się. – Wszystko mnie boli... Był strasznie brutalny.

– Bydlak. Nie mogę sobie darować, że się nie pojawiłem wcześniej.

– Dobrze, że w ogóle przyszedłeś. Gdyby nie ty... – Uśmiechnęła się. – Jesteś moim wybawcą. Bohaterem.

– E tam, jestem zwykłym kowbojem.

– Lubię uczciwych, ciężko pracujących ludzi. Nigdy nie pociągał mnie żaden bogacz otoczony wianuszkami kobiet.

Ogarnął go wstyd. Udaje kogoś, kim nie jest. Żyje w kłamstwie. Sassy zaś jest osobą szczerą i prostolinijną– Kiedy dowie się, jak ją oszukał, już nigdy mu nie zaufa. Powinien jak najprędzej wyznać jej prawdę. Zerknął na nią z ukosa. Spała z policzkiem przytkniętym do szyby.

No dobra, przy okazji. Dziś ma dosyć wrażeń.

Zaparkowawszy na podjeździe, okrążył maskę i wziął śpiącą dziewczynę na ręce. Przez chwilę stał, spoglądając na słodki ciężar, który trzymał w ramionach; wreszcie ruszył na ganek. Zastukał. Nie czekając na odpowiedź, nacisnął kławkę.

Pani Peale, ubrana w szlafrok, siedziała w fotelu przed telewizorem.

– Co jej się stało? – zawołała przerażona.

– Nic takiego – odparł John. – Lekarz dał Sassy środek uspokajający.

Zaraz pani wszystko wytłumaczę, tylko najpierw... Gdzie mógłbym ją położyć?

– W sypialni. – Starsza pani wstała. – Tędy...

– Niech pani usiądzie, pani Peale. Ja sam trafię. Kobieta rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Miły z pana człowiek. A sypialnia córki mieści się za pierwszymi drzwiami na lewo.

– Zaraz wrócę.

Wniósł Sassy do małego pokoiku i odciągnąwszy na bok spraną niebieską narzutę, położył dziewczynę na łóżku. Podsunał jej poduszkę pod głowę, zdjął buty, następnie przykrył kołdrą.

Oddychała równo. Powiódł wzrokiem po jej potarganych włosach, szczupłych biodrach, długich nogach. Sam jej widok cieszył jego oko. Ale Sassy była nie tylko atrakcyjna; emanowała ciepłem niczym rozpalony

kominek w zimowy dzień. Uśmiechnąwszy się pod nosem, John opuścił sypialnię.

– Co się stało? – W głosie pani Peale pobrzmiwała nuta z troskania.

– Miała bardzo ciężki dzień... – rzekł, siadając na kanapie.

– Chodzi o Tarletona, prawda? John uniósł zdziwiony brwi.

– Tak. Skąd pani wie... ?

– Od samego początku narzucał się Sassy. – Na moment umilkła, próbując złapać oddech. W jej zielonych oczach kipiała furia. – Któregoś dnia przyszła do domu zapłakana, bo ją obmacywał. Uważał, że to zabawne.

John zacisnął gniewnie zęby.

– Przepraszam za moją bezpośredniość, ale kim pan jest? – spytała nagle kobieta.

– Nazywam się John... Taggart. Mój szef kupił ranczo Bradbury'ego. Jestem jego zarządcą.

– Ranczo Bradbury'ego? A pan wie, że tam straszy?

– Co takiego?

– Ojej, nie powinnam była tego mówić...

– Nie, nie. Proszę kontynuować. Uwielbiam folklor.

– W porządku. – Roześmiała się. – No więc wszystko zaczęło się, kiedy Hart Bradbury poślubił swoją kuzynkę, Blanche Henley. Stary Henley, który nienawidził Bradburych, był przeciwny małżeństwu córki, ale młodzi uciekli i wzięli ślub po kryjomu. Ojciec poprzysiągł zemstę. Jakiś czas później Hart wrócił do domu po ciężkim dniu pracy i zastał żonę w ramionach innego. Wściekły, kazał Blanche wynieść się do rodziców.

– Pewnie stary Henley wszystko ukartował?

– Tak, z pomocą zaufanego pracownika. Blanche była niepokieszona.

Całymi dniami siedziała w swoim pokoju, zalewając się łzami. Nie

gotowała, nie sprzątała, nigdzie nie wychodziła. Ojciec liczył na to, że wyrzucona przez męża podejmie dawne obowiązki. Ale się przeliczył. Blanche nie tylko mu nie pomagała w prowadzeniu domu, lecz przynosiła mu wstyd. W końcu odesłał ją z powrotem do męża.

Hart rozmawiał z nią w drzwiach, nawet nie wpuścił jej do domu. Był przekonany, że go zdradziła. Zrozpaczona Blanche udała się na most koło starej stodoły i rzuciła do rzeki. Hart usłyszał jej krzyk, ale kiedy dobiegł na miejsce, było już za późno. Dopiero wtedy uwierzył w niewinność żony. Przesłał teściowi wiadomość o śmierci Blanche i czekał na niego z dubeltówką. Jedną kulę przeznaczył dla starego Henleya, drugą dla siebie. Historia ta wydarzyła się prawie dziewięćdziesiąt lat temu, ale nikt o niej nie zapomniał.

– A posiadłość wciąż nosi nazwę rancza Bradbury'ego... Pani Peale uśmiechnęła się.

– Hart miał trzech braci. Jeden z nich przejął ranczo. To był stryjeczny dziadek człowieka, z którym pański szef ubił interes. – Nagle kobieta zmieniła temat. – A jak to się stało, że zaopiekował się pan Sassy?

– Wszedłem na zaplecze, kiedy Tarleton się do niej dobierał – odparł John. – Nie chciała pójść do lekarza, więc ją do niego zaniósłem. – Pokręcił głową. – Jak znam życie, ludzie przez tydzień będą o tym gadać.

– O tak, moja córka potrafi być bardzo uparta.

– Zauważyłem. Ale odwagi też jej nie brakuje.

– Co powiedział lekarz?

– Że nic jej nie dolega. Poza siniakami. Oczywiście przez jakiś czas może odczuwać skutki szoku.

– Z tym jakoś sobie poradzimy... – Kobieta przygryzła wargę. – Czy... czy wie pan o mojej chorobie?

–Tak.

Pokiwała smętnie głową.

– Mój mąż odszedł, kiedy Sassy chodziła jeszcze do szkoły. Wkrótce później zmarł ojciec Selene, a ja zaadoptowałam małą. Nie mamy żadnej innej rodziny. Kiedy ja umrę, Sassy zostanie sama.

– Proszę się nie martwić. Awansowała na zastępcę kierownika. Dostanie podwyżkę. I jeśli będzie potrzebowała pomocy, zawsze może na mnie liczyć.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Dobrze panu z oczu patrzy – rzekła w końcu. – Dziękuję, panie Taggert.

– To miła dziewczyna.

– Miła i naiwna. – Kobieta westchnęła ciężko. – Życie w małym miasteczku ma swoje dobre i złe strony.

– Sassy na pewno da sobie radę – zapewnił ją John. –Może jest naiwna, ale ma poczucie własnej wartości i potrafi wymierzać policzki. Gdyby pani widziała, jak przyłożyła Tarletonowi!

– Uderzyła go?

– I to jak! – odparł z podziwem. – Gdyby mogła z nim chwilę dłużej „pogadać”, odechciałoby mu się molestowania. Oczywiście na razie i tak nie będzie miał ku temu okazji, bo kilka najbliższych lat spędzi za kratkami.

– McGuire nie powinien był go zatrudniać.

– Teraz i on to wie. Ponownie przygryzła wargę.

– A jeśli drań znajdzie sobie dobrego adwokata?

– Wtedy zbadam jego przeszłość i odkryję wszystkie grzechy, jakie ma na sumieniu. Wówczas już się nie wywinie. Tak czy inaczej Sassy może spać spokojnie.

Pani Peale rozpromieniła się.

– Jeszcze raz bardzo panu dziękuję.

– Jest tu telefon? – spytał nagle John. Kobieta zawahała się.

– Tak.

– Jeśli czegoś będzie pani potrzebowała, proszę do mnie zadzwonić. –

Zapisał na kartce numer. – Ktoś zawsze jest na miejscu.

– Bardzo jest pan uprzejmy – szepnęła matka Sassy.

– Tam, skąd pochodzę, ludzie sobie nawzajem pomagają.

– A skąd pan pochodzi, panie Taggert?

– Callisterowie, dla których pracuję, mieszkają w Medicine Ridge.

– Callisterowie? Mój Boże, wszyscy znają to nazwisko! Jeden z naszych sąsiadów kiedyś u nich pracował.

– Tak? – John wstrzymał oddech.

– Wyjechał stąd jakiś rok temu – ciągnęła kobieta, a John odetchnął z ulgą. – W każdym razie twierdził, że nie ma na świecie lepszych szefów.

Nie zrezygnowałby z pracy, gdyby nie żona, która chciała być przy chorej matce. Nie dziwię się jej. Ja też opiekowałam się umierającą matką. –

Podniosła wzrok. – A pana rodzice żyją?

– Tak. Ale dopiero teraz poznajemy się trochę lepiej.

– Byliście skłóceni? Skinął głową.

– To już przeszłość. Czy może coś pani podać albo przynieść, zanim wyjdę?

– Nie, dziękuję.

– Zamknę za sobą drzwi. Proszę powiedzieć Sassy, że jeśli chce, to może zostać jutro w domu.

– Na pewno nie będzie chciała. W sumie lubi swoją pracę.

– Ja swoją też. Dobranoc, pani Peale.

– Dobranoc, panie Taggert.

Wracał na ranczo pogrążony w zadumie. Bał się, czy jednak Tarleton nie wyjdzie wkrótce na wolność. Facet był mściwy. Już raz zaatakował Sassy. Diabli wiedzą, co jej zrobi, jeśli wypuszczą go z więzienia. Hm, trzeba pogadać z szeryfem; może uda się ustalić tak wysoką kaucję, by tego dupka nie było na nią stać.

Roboty na ranczu postępowały szybko. Stodoła już stała, teraz trwały prace elektryczno–hydrauliczne. Rozpoczęto też przebudowę domu. John miał już dość spania w śpiworze na podłodze.

Tego wieczoru zadzwonił do Gila.

– Co tam u was w domu?

– Bess przyniosła węża, kiedy siadaliśmy do kolacji. Żebyś widział, jak babki zwiewały! Aż się kurzyło.

– Założę się, że Kasie nie zwiąła.

– Kasie połaskotała gada pod brodą i oznajmiła, że to najpiękniejszy wąż na świecie.

– Uwielbiam twoją żonę – powiedział John.

– Bylebyś pamiętał, że to moja żona.

– Nie mów, że wciąż jesteś o nią zazdrosny?

– A jestem. I co w tym złego?

– Mógłbym codziennie obsypywać ją kwiatami, przynosić jej tony brylantów, a ona i tak wybrałaby ciebie. Ty jesteś jej mężem, a ja tylko szwagrem.

– No dobra, masz rację – przyznał Gil. – A jak tam twój remont?

– Posuwa się, ale wciąż śpię na podłodze. Wydałem ekipie polecenie, że najpierw mają skończyć sypialnię, a dopiero potem resztę. Aha, wydzierzawiłem tutejszy sklep rolny.

- Można spytać, po co?
- Kierownik próbował zgwałcić młodą pracownicę. Wsadziliśmy go do mamra.
- A ty wzięłaś sklep w dzierżawę, bo... ? John westchnął.
- Matka Sassy umiera na raka płuc. W domu jest jeszcze adoptowana sześćioletnia dziewczynka, sierota. Wszystkie trzy żyją z pensji Sassy. Pomyślałem sobie, że gdyby Sassy awansowała na zastępcę kierownika, wówczas mogłaby popłacić zaległe rachunki i kupić małej nowe ubranie.
- Sassy, powiadasz? John zaczerwienił się.
- Nic nas nie łączy – rzekł. – Ona po prostu pracuje w sklepie...
- Jak wygląda?
- Jest drobna. Ma ciemne włosy, zielone oczy i śliczny uśmiech. Oraz temperament. Kiedy ściągnąłem z niej Tarletona, dała facetowi w pysk.
- Tarleton to ten kierownik?
- Tak. Właściciel sklepu, McGuire, zatrudnił go na odległość, opłacił mu przeprowadzkę. Cholera, drań już raz stracił pracę z powodu molestowania.
- To dlaczego McGuire dał mu robotę?
- Bo miał nóż na gardle, a o przeszłości Tarletona nie wiedział.
- Kto teraz poprowadzi sklep?
- Buck Mannheim.
- Doskonale. Po przejściu na emeryturę Buck straszliwie się nudził.
- To mądry facet, na pewno sobie poradzi. Sassy od razu go polubiła.
- Jak ona się czuje? Po tej historii z Tarletonem?
- Jest trochę posiniaczona. Zabrałem ją do lekarza, potem odwiozłem do domu. Spała przez całą drogę.
- Nie protestowała, że wielki szef osobiście się nią zajmuje?

- Nie wie, że jestem szefem.
- Kłamstwo ma krótkie nogi, John. Radzę ci nie ukrywać prawdy.
- Nie ukrywam. Po prostu nie mówię wszystkiego. To miło, jak ludzie traktują cię normalnie.
- W porządku. Rób, co chcesz. Obyś tylko nie żałował swojej decyzji.
- Nie będę – oznajmił z przekonaniem John. – W końcu nie zamierzam osiąść tu na stałe.

Długo się jednak zastanawiał, czy brat przypadkiem nie ma racji. Miał nadzieję, że nie. Bo cóż może być złego w tym, że raz w życiu chce się czuć jak zwykły człowiek? Przecież nikogo nie krzywdzi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sassy rozpoczęła pracę na stanowisku zastępcy kierownika. Dzięki Buckowi, który się z nią przekomarzał w ciepły sposób, jakby była jego wnuczką, czuła się bezpiecznie. Mniej więcej po tygodniu spytała, czy w sobotę mogłaby przyprowadzić do sklepu Selene. Nie chciała jej zostawiać z matką, która w ostatnich dniach poczuła się gorzej.

Buck nie miał nic przeciwko temu, w przeciwieństwie do Johna, któremu nie spodobał się widok sześciolatniej dziewczynki układającej towary.

– To nie jest odpowiednie miejsce dla dzieci – rzekł łagodnie. – Mnóstwo rzeczy wisi na ścianach. Byle drobiazg może spaść i zranić małą.

– Nie pomyślałam o tym – przyznała Sassy.

– Są tu różne pestycydy. Nie musi ich lizać; wystarczy, że torba pęknie i pył dostanie się do nosa. – Zmarszczył czoło. – Na ranchu w Medicine Ridge mieszkała dziewczynka, którą musieliśmy wieźć na pogotowie, bo właśnie coś takiego się zdarzyło.

–Ojej...

– Nie zrozum mnie źle, nie przeszkadza mi obecność Selene, ale znajdź jej jakieś zajęcie przy ladzie. Niech nie krąży po sklepie.

– Sporo wiesz o dzieciach.

– Mam bratanice w jej wieku – odparł z uśmiechem. –Małe szelmy.

– Kochasz je?

– Bardzo. – Popatrzył na Selene, która w starych, ale czystych dżinsach i bluzeczce wdrapała się na stołek za ladą. –Żałuję, że nie założyłem rodziny. Wydawało mi się, że inne rzeczy są ważniejsze.

– Na przykład?

– Praca, zaspokojenie ambicji. Kariera i rodzina rzadko idą w parze.
– Rozumiem. – Pokiwała głową. – Chciałeś zostać kimś więcej niż zwykłym kowbojem.

Kimś więcej niż kowbojem? Hm, chciał razem z bratem stworzyć najlepszą na świecie hodowlę bydła zarodowego. I osiągnął cel; Callisterowie uchodzili za mistrzów w tej dziedzinie, lecz John poświęcił na to wiele lat życia. Ciągłe był w drodze, jeździł z jednego pokazu na drugi, demonstrując najpiękniejsze okazy, jakie udało im się wyhodować. I im więcej nagród zdobywały ich buhaje, tym więcej brali za ich potomstwo.

– I zostałeś – kontynuowała Sassy. – Jesteś zarządcą. Wyżej chyba już nie możesz zejść?

– Ależ mogę – odparł z entuzjazmem. – Mamy kilku zarządców, którzy zajmują się wszystkim od produkcji zboża po hodowlę bydła i sztuczny rozplód. Najlepsi awansują na kierowników.

– Sztuczny rozplód?

Gdyby była starsza, bardziej doświadczona, może rzuciłby jakąś dowcipną odpowiedź.

– Chodzi o sztuczną inseminację – wyjaśnił. – Opłacamy człowieka, który pobiera nasienie od najlepszych buhajów i zapładnia nim krowy i jałówki.

– Aha. – Speszona opuściła wzrok.

– Na tym polega nowoczesna hodowla. Dawniej, przy metodach naturalnych, nigdy nie miało się pewności, czy rozplód się uda. Obecna metoda daje o wiele lepsze rezultaty.

– Tak prosto to wyjaśniłeś. Dziękuję. – Uśmiechnęła się. – W zeszłym miesiącu przyszedł do sklepu klient, który chciał kupić specjalne majtki dla

suki w rui. Mówił tak, że poczułam się skrepowana. Strasznie był tym ubawiony.

Słyszając to, John miał ochotę odszukać klienta i przemówić mu do rozumu.

– U nas na ranczu nie tolerujemy tego typu zachowania. Wulgarne zaczepki również uważamy za molestowanie seksualne.

– Naprawdę? – zdumiała się Sassy.

– Absolutnie. – Popatrzył jej w oczy. – Żaden klient nie ma prawa cię zawstydząć. Jeśli ktoś używa przekleństw czy wulgaryzmów, zawołaj Bucka. Jeśli akurat jesteś sama w sklepie, zadzwoń do mnie.

– Myślałam, że... Pan Tarleton czasem używał bardziej nieprzyzwoitego języka niż niektórzy klienci. Wielokrotnie próbował odgadnąć wielkość moich... – Odwróciła wzrok. – No, wiesz.

– Niestety wiem. Słuchaj, musisz protestować, nie pozwalać innym na takie zachowanie.

Pocierając łokieć, roześmiała się nerwowo.

– Chciałam rzucić pracę. Już nawet rozmawiałam o tym z mamą. Uznałam, że wolę codziennie jeździć do Billings, niż znosić zaczepki Tarletona. Ale potem... – skrzywiła się. – Potem podrożała benzyna, a że nie jestem milionerką...

– Już się nie musisz martwić o to, że zbankrutujesz na stacji benzynowej. Oprócz pensji dostaniesz również zwrot kosztów przejazdu.

– Boże, jesteś cudowny! – zawołała Sassy.

– Owszem, jestem. Cudowny. Czarujący. Jestem też znakomitym rozmówcą i graczem w pokera. – Uśmiechając się w duchu, obserwował reakcję Sassy. – Czy chwalilem się, że przepadają za mną psy?

Dopiero w tym momencie Sassy zorientowała się, że John żartuje.

– Śmiejesz się ze mnie?

– Troszeczkę.

W jej oczach pojawiły się wesołe iskierki.

– Pewnie masz mnóstwo obowiązków, zważywszy na to, ile się dzieje na twoim ranczu?

– Sporo – przyznał. – Głównie zajmuję się sprawami organizacyjnymi.

– To potwornie stresujące, prawda? Kiedy na ranczu pracują dziesiątki osób, a ty jeden wszystkim kierujesz... Podejrzewam, że prawie w ogóle nie masz czasu.

To fakt. Całe życie harował. Pobyt tutaj, w Hollister, na dawnym ranczu Bradbury'ego, gdzie też pracował od rana do nocy, traktował niemal jak urlop. W Medicine Ridge obaj z Gilem rzadko pozwalali sobie na wypoczynek. Wiele obowiązków starali się przekazywać pracownikom, lecz niektóre decyzje mógł podjąć tylko szef.

– To prawda, czasu nie mam, ale mam ambicje. Tak jak mówiłem, chciałbym coś w życiu osiągnąć. – Popatrzył na nią spod oka. – A ty? Masz jakieś cele?

Zamyśliła się.

– Chyba nie. To znaczy, chcę jak najdłużej opiekować się mamą. Chcę wychować Seline na porządnego człowieka, zapewnić jej wykształcenie, zaoszczędzić tyle, żeby posłać ją do college'u...

John ściągnął brwi. Marzenia Sassy dotyczyły innych, nie jej samej, on natomiast zawsze myślał o sobie. Chociaż nie, również o Gilu, o jego córkach i od niedawna o Kasię. Ale wspaniałomyślność Sassy go zdumiała; to była rzecz niespotykana, zwłaszcza u osób tak młodych. Miała dziewiętnaście lat, zgrabne ciało, wielkie serce i śliczny uśmiech. Odznaczała się mądrością płynącą z rozsądku, z intuicji. Psiakość, dlaczego

nie jest parę lat starsza? Ilekroć o niej myślał, natychmiast przypominał sobie o dzielącej ich różnicy wieku. Wiedział, że z powodu tej różnicy musi trzymać się od Sassy na dystans.

– Co ci jest? – zapytała, ponownie zaskakując go swoją spostrzegawczością.

– Nic. Tylko tak sobie pomyślałem, że na swoich młodych barkach dźwigasz bardzo dużo obowiązków.

– Trochę ich się zebrało – przyznała ze śmiechem.

– I pewnie mocno ograniczają twoje życie towarzyskie? – Ciekaw był, czy ma chłopaka, czy umawia się na randki.

– Bo ja wiem? Prawie wszyscy mężczyźni w Hollister mają żony lub narzeczone. A tych kilku wolnych ja nie pociągam. Jeden z nich powiedział mi wprost, że nie interesuje go dziewczyna z bagażem w postaci chorej mamy i adoptowanej siostry.

– Jak zareagowałaś?

– Oznajmiłam, że nie zrezygnuję z „bagażu”, więc mężczyzna, z którym będę, musi go zaakceptować i dźwigać razem ze mną. Jak się domyślasz, nie spodobała mu się odpowiedź. Ale co tam! Mogę być jak Zorro.

– Tajemnicza i zamaskowana?

– Nie. – Roześmiała się. – Samotna. Choć nie do końca. – Zerknęła na Selene, która ustawiała na półce pudełka z nasionami. – Jest bardzo inteligentna, cierpliwa, nigdy się nie awanturuje. Do wszystkiego podchodzi ostrożnie...

– Innymi słowy najpierw myśli, a potem działa.

– Tak. W przeciwieństwie do mnie. Nigdy nie zastanawiam się nad konsekwencjami.

– Spontanizność wcale nie jest wadą – zauważył John.

– Czasem bywa, ale pracuję nad sobą. Może za kilka lat popatrzę, czy jest głęboko, zanim skoczę na głowę. – Skierowała na niego wzrok. – Jak tam remont?

– Powolutku. Stodoła już stoi. Teraz roi się w niej od elektryków, hydraulików i dekarzy.

– Miejscowi zwykle mają długie terminy.

– Dlatego sporą część siły roboczej sprowadziliśmy z Billings. Pracy jest od groma. Trzeba postawić budynki gospodarcze, wyremontować dom, wymienić ogrodzenie, wydrążyć studnie...

– Twój szef musi być piekielnie bogaty, skoro w tych ciężkich czasach może sobie na to wszystko pozwolić.

– Jest bogaty, ale mądrze wydaje pieniądze. Montujemy kolektory słoneczne i wiatraki; prąd będziemy mieli za darmo.

– Jakieś sześć lat temu pewien prawnik kupił w okolicy ziemię. Miał hopla na punkcie energii odnawialnej. – Zamilkła. – Biedny facet.

– Dlaczego biedny? – spytał John.

– Napatrzył się w telewizji na filmy przyrodnicze. Uznał, że niedźwiedzie grizzly to miłe stworzenia. Kiedy zobaczył jednego u siebie w ogrodzie, chwycił torbę z pieczywem i wyszedł go nakarmić.

– O cholera...

Sassy pokiwała głową.

– Niedźwiedź zjadł chleb, a potem zaczął konsumować prawnika. Facet przeżył dzięki temu, że udał martwego, ale stracił rękę i oko. – Znów potrząsnęła głową.

– Na pewno pochodził ze wschodniego wybrzeża.

– Tak. Z dużego miasta. Wcześniej widywał niedźwiedzie w zoo i w telewizji. Po obejrzeniu dokumentu o człowieku, który mieszkał wśród niedźwiedzi, doszedł do wniosku, że każdy może się z nimi zaprzyjaźnić.

– Słyszałem podobną historię o kobiecie, która przeprowadziła się ze stolicy do Arizony. Na środku drogi zobaczyła grzechotnika, więc wysiadła z samochodu i podeszła blisko...

– I czym się skończyła jej przygoda?

– Wieloma zastrzykami z surowicą antytoksyczną oraz dwutygodniowym pobytem w szpitalu. Na zwierzętach, tak jak na papierosach, powinny być ostrzeżenia. „Od większości gadów należy trzymać się z daleka. Są niebezpieczne; mogą ugryźć, a nawet zabić”. Albo „Niedźwiedzie grizzly jedzą chleb, owoce i ludzi”.

Sassy wybuchnęła śmiechem.

– Też się kiedyś natknęłam na grizzly. Na szczęście udało mi się zwać.

– Taka jesteś szybka?

– On był stary i ociężały, a ja miałam świetną motywację, żeby nie oglądać się za siebie.

– Mnie się nie przytrafiły żadne spotkania z dzikimi zwierzętami. Chociaż nie, raz pogłaskałem łosia, który zalecał się do naszej krowy. Ale on był przyjaźnie do mnie nastawiony.

– To chyba nietypowe?

– Dostyc. Na ogół nie uciekają przed ludźmi zwierzęta zarażone wścieklizną. Ale łos był zdrowy, po prostu nie bał się ludzi. Uwielbiał kukurydzę.

– Co się z nim w końcu stało?

– Zaczął przeganiać inne zwierzęta; chciał mieć swoją ulubioną krowę na wyłączność. Nie było rady; musieliśmy przetransportować go w góry. Od tamtej pory się nie pokazał.

– A jak wróci? Pozwolicie mu zostać?

John zmarszczył czoło, jakby się zastanawiał.

– Tak. Przefarbuję go na czerwono, obetnę mu rogi i będę twierdził, że to francuska odmiana byka.

Sassy wybuchnęła śmiechem. W tym samym momencie podbiegła do nich Selene.

– Przepraszam – powiedziała grzecznie do Johna, po czym podała siostrze długopis i notes. – Dzwoni jakiś pan, który chce złożyć zamówienie.

– Dziękuję. Selene, kochanie, to jest pan John Taggart, zarządca na ranchu Bradbury'ego.

Dziewczynka rozciągnęła usta w uśmiechu. Była szczerbata i urocza.

– Jak będę duża, zostanę pilotem myśliwca – oznajmiła.

– Naprawdę?

– Tak. Córka pielęgniarce, która odwiedziła moją mamę, dawniej latała na myśliwcach. A dziś lata w wielkich samolotach przez Atlantyk!

– No proszę. – Spojrzawszy na Sassy, John pokiwał głową, po czym kucnął, tak by jego oczy znalazły się na jednym poziomie z oczami Selene.

– A na jakich myśliwcach chcesz, aniołku, latać? – spytał.

Dziewczynka położyła rączkę na jego ramieniu i odparła z powagą:

– Najchętniej na raptorze F-22. Wiesz, że potrafia zawisnąć nieruchomo w powietrzu?

– Nie wiedziałem – przyznał. Nawet nie wiedział, że są takie myśliwce.

– Był o nich program w telewizji. To piąta generacja myśliwców. Mają piękny futurystyczny kształt – dodała z rozmarzonym wzrokiem.

– Wierzę, że spełnisz swoje marzenie. Uśmiechnęła się.

– Najpierw muszę dorosnąć. – Nagle spostrzegła, że siostra wciąż stoi obok. – Sassy! Ten pan czeka!

– Dobrze, już idę – oznajmiła Sassy.

– Odwiedzisz nas jeszcze? – spytała dziewczynka, kiedy John się wyprostował.

– Jeżeli pozwolisz.

– No pewnie! – zawołała i pobiegła za ladę. John tymczasem ruszył na poszukiwanie Bucka.

Tarleton został oskarżony o molestowanie Sassy. Nie przyznał się do winy. obrońca poprosił, aby sąd zwolnił jego klienta nie za kaucją, lecz za poręczeniem. Prokurator sprzeciwił się; istnieje duże ryzyko, twierdził, że oskarżony nie stawi się na rozprawie.

Rozpatrzywszy argumenty obu stron, sędzia postanowił wyznaczyć kaucję. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. obrońca i jego klient ostro zaprotestowali. Wiadomo było, że Tarleton nigdy nie uzbiera takiej sumy; do rozprawy będzie musiał czekać w więzieniu. Niezbyt mu się to uśmiechało.

Sassy ogarnęły wyrzuty sumienia. Owszem, Tarleton ma wiele wad, ale ma również żonę, która nie jest niczemu winna i nie powinna cierpieć za grzechy męża.

– Biedna kobieta – powiedziała do Johna, kiedy zajrzał do sklepu pod koniec tygodnia. – To takie niesprawiedliwe, że musi przez to wszystko przechodzić.

– Wolałabyś, żeby ten drań wyszedł na wolność? – spytał cicho John.
– I znów zaczął kogoś napastować? Następna osoba może nie mieć tyle szczęścia co ty.

Sassy zaczerwieniła się.

– Nie, oczywiście, że bym nie wolała. Opuszkami palców pogładził ją po policzku.

– Masz wielkie serce, Sassy. Ludzie będą chcieli to wykorzystać.

Podniosła wzrok.

– Ale nie wszyscy są źli. Bywają też dobrzy ludzie, którzy nikogo nie chcą skrzywdzić.

Parsknął śmiechem.

– Naprawdę w to wierzysz?

W jego twarzy dojrzała skrywany ból.

– Ciebie ktoś skrzywdził, prawda? – Przez chwilę wpatrywała mu się w oczy. – Kobieta. Dawno temu. Nigdy o niej nie rozmawiasz, ale wciąż pamiętasz ból, jaki ci zadała. I dlatego trzymasz wszystkich na dystans.

– Nic o mnie nie wiesz – warknął.

– Mylisz się. Wiem.

– Czyżbyś potrafiła czytać w myślach? – spytał ironicznym tonem.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Ale umiem czytać w zmarszczkach.

– Słucham?

– Przy oczach tworzą się zmarszczki od śmiechu, na czole od gniewu i smutku. Znacznie głębsze masz te na czole. – Nie chciała mu mówić, że wiele osób z jej rodziny obdarzonych jest darem jasnowidzenia. Jeszcze by ją uznał za dziwoląga. – A twój uśmiech... jest jakby na pokaz. Dla ludzi. Kiedy wracasz do domu, odwieszasz go niczym kapelusz.

Zmrużył oczy. Psiakrew, jak na tak młodą osobę jest niesamowicie spostrzegawcza. Westchnęła.

– Mam się nie wtrącać, tak? Staram się pilnować własnego nosa, ale nie lubię, gdy inni cierpią.

– Nie cierpię.

– W porządku.

– Nie jestem kretyńcem tylko dlatego, że mnie kobieta wystrychnęła na dudka.

– Wystrychnęła?

Od lat z nikim o tym nie rozmawiał, nawet z Gilem. Z jednej strony był zły, że Sassy wtrąca się do jego życia, a z drugiej... Może jeśli wszystko z siebie wyrzuci, rana w jego sercu się zablizni?

– Zareczyła się ze mną, kiedy mieszkała z innym facetem w Kolorado. Sassy bacznie mu się przyglądała.

– Tak bardzo mi na niej zależało, że niczego nie podejrzewałem.

Wyjeżdżała z przyjaciółką na weekendy, a ja w tym czasie oglądałem filmy albo sprawdzałem rachunki. Któregoś razu nie miałem nic do roboty, więc wybrałem się do Red Lodge, tam gdzie miała być, i zatrzymałem w motelu. Okazało się, że przyjaciółką mojej narzeczonej jest piekielnie bogaty facet. Wynajęli wspólny pokój. Narzeczona miała bardzo zdziwioną minę, kiedy w jego towarzystwie zeszła na dół i zobaczyła mnie w holu.

– Co powiedziała?

– Nie odezwała się. Udawała, że nie zna faceta. On się wściekł, a ja... wróciłem do domu. Zadzwoiła, próbowała się tłumaczyć, ale mnie to już nie interesowało.

Nie przyznał się, że wynajął – ponieważ – prywatnego detektywa, by zdobył o niej informacje. Otóż kobieta, z którą się zareczył, lubiła się

otaczać bogaczami; jednego naciągnęła na ćwierć miliona. Oczywiście fascynowały ją pieniądze, a nie on, John Callister. Ponieważ była pazerna, grała na dwa fronty. W rezultacie straciła obu mężczyzn, on zaś stał się zgorzkniały i podejrzliwy wobec wszystkich kobiet. Nadal uważał, że chodzi im wyłącznie o majątek.

– Ten drugi facet... był bogaty?

– I to jak!

Położyła dłoń na jego ramieniu.

– Przykro mi, John. Właściwie to powinieneś się cieszyć, że nie jesteś bogaty.

– Dlaczego?

– Nie musisz się zastanawiać, czy kobiecie podobasz się ty, czy twój portfel.

– Ja? – spytał, rozkoszując się jej dotykiem.

– Nie żartuj. – Roześmiała się wesoło. – Jesteś przystojny. Stajesz w obronie słabszych. Lubisz dzieci. No i psy za tobą przepadają – dodała z figlarnym błyskiem w oku. – A skoro zajmujesz się hodowlą bydła, to oprócz dzieci chyba również lubisz zwierzęta.

Przesunęła rękę na jego klatkę piersiową. Po chwili dołączyła drugą. Jego ciało coraz silniej reagowało na jej pieszczoty. Z trudem powściągał pożądanie.

– Przestań – oznajmił, cofając się. Bał się własnej reakcji, tego, że straci nad sobą kontrolę.

Sassy odskoczyła, zawstydzona własną odwagą.

– Przepraszam. – Oblała się rumieńcem. – Nigdy wcześniej się tak nie zachowywałam...

Niemal biegiem wróciła za ladę, chwyciła telefon i zadzwoniła do klienta, aby go poinformować, że może odebrać zamówiony towar. Już wcześniej dzwoniła, ale nikogo wtedy nie zastała. Boże, niech odbierze. I niech John już sobie pójdzie.

Zaklął pod nosem. Psiakrew, nie chciał jej urazić, ale... Ale za bardzo mu się spodobała. Zbyt duży czuł do niej pociąg. Musi odpocząć, poukładać sobie wszystko w głowie. Okręciwszy się na pięcie, skierował się ku drzwiom. Właściwie to powinien wrócić, przeprosić za swój burkliwy ton. Ale co miałby jej powiedzieć?

Nie, musi choć na parę dni zmienić otoczenie.

Zostawił na straży Carla Bakera, który kiedyś u Bradbur'ego pełnił funkcję zarządcy, a sam pojechał na weekend do Medicine Ridge.

Gil powitał go w drzwiach.

– Stęskniliśmy się za tobą.

– Wujek John!

Rozległ się tupot nóg i po chwili Bess i Jenny, córki Gila z jego pierwszego małżeństwa, rzuciły się Johnowi w ramiona.

– Och, wujku, strasznie długo cię nie było! – oznajmiła starsza Bess, ściskając go za szyję.

– Strasznie, strasznie długo – poparła siostrę Jenny, całując spalony od słońca policzek Johna. – Nie możesz wyjeżdżać na tyle czasu!

– Przywiozłeś nam prezent? Uśmiechnął się.

– A czy kiedykolwiek o nim zapomniałem? Jest w torbie, obok mojej walizki. – Postawił dziewczynki na ziemi.

Pobiegły do torby, z której wyciągnęły dwa pięknie zapakowane pudełka. Natychmiast zdarły z nich wstążki oraz kolorowy papier. W środku

były pluszowe zwierzaki, takie same jak w ulubionej przez dziewczynki grze komputerowej.

– Ojej, pieski! – zawołała Bess, tuląc czarnego labradora.

– Tatusiu, możemy włączyć komputer? – poprosiła Jenny, ściskając collie.

– Komputer? A po co? – zdziwiła się ich macocha Kasie, cmokając szwagra w policzek.

– Bo wujek John kupił nam pieski z naszej gry.

– No dobrze, chodźcie. – Kasie ruszyła w głąb domu.

– Na długo przyjechałeś? – spytał brata Gil.

– Na weekend. Zapraǳiałem odmiany.

– Słusznie. To ranczo to duże wyzwanie. Na pewno nie potrzebujesz pomocy? Moglibyśmy wysłać ci Greena.

– Nie, dzięki. Radzę sobie. Pojawiła się tylko drobna komplikacja.

– Jaka? – spytał Gil, kiedy Kasie z dziewczynkami znalazły się poza zasięgiem słuchu.

John westchnął ciężko.

– Dziewczyna.

– Czas najwyższy. – Oczy Gila rozbłyły.

– Nie rozumiesz. – John pokręcił głową. – Ona ma dopiero dziewiętnaście lat.

– Kasie miała dwadzieścia jeden. A ja jestem starszy od ciebie. Wiek nie ma nic do rzeczy.

John poczuł się, jakby ciężar spadł mu z serca.

– Jest niewinna. Niedoświadczona.

– Tym lepiej. Chodźmy do kuchni. Napijemy się kawy i o wszystkim mi opowiesz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez resztę dnia Sassy udawała, że nic się nie stało. Zazwyczaj w obecności mężczyzn paraliżowała ją nieśmiałość, John jednak sprawił, że wyszła ze swej skorupy i poczuła się atrakcyjna. Niestety zamiast trzymać ręce przy sobie, położyła dłoń na jego ramieniu, po chwili drugą na jego piersi. Pragnęła, by ją przytulił, pocałował. Na samą myśl o tym się zaczerwieniła. Nigdy dotąd nie była tak bezpośrednia.

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że nie jest piękna ani pociągająca. Poza tym John, jako mężczyzna znacznie od niej starszy, przypuszczalnie gustuje w doświadczonych kobietach. Może i jest zwykłym zarządcą, ale ma mnóstwo uroku, jeździ porządnym dżipem i chyba nieźle zarabia. Może przebierać w kobietach jak w ulegawkach.

Owszem, wybawił ją od Billa Tarletona, załatwił jej awans i podwyżkę. I tak, był dla niej bardzo miły. Ale pewnie przeżył szok, kiedy tak bezceremonialnie się do niego przysunęła. Przez cały dzień chodziła zawstydzona.

– Coś cię gnębi, Sassy? – spytał Buck Mannheim, kiedy szykowali się do zamknięcia sklepu.

Zdobyła się na uśmiech.

– Ależ nie. Po prostu jestem trochę zmęczona. To był długi dzień.

– Chodzi o Tarletona, prawda? Martwisz się, że będziesz musiała zeznawać w sądzie?

Sprawa Tarletona faktycznie nie dawała jej spokoju, ale dziś powodem jej stresu był John Taggert.

– Tak, wolałabym puścić wszystko w niepamięć. Buck westchnął.

– Wiesz, kochanie, jeśli nie będziesz zeznawać, Tarletonowi może się upiec. Łajdak dobierał się do ciebie tylko dlatego, że wcześniej jakaś inna maltretowana przez niego dziewczyna nie chciała stanąć przed ławą przysięgłych. W tej sytuacji przysięgli wydali wyrok: niewinny. Gdyby orzekli, że jest winny, tkwiłby teraz za kratkami i nie dobierał się do ciebie.

– To prawda – przyznała Sassy. – Tylko niektórzy mężczyźni odczytują zwykle spojrzenie jako zachętę do...

– Tak nie było w tym przypadku – przerwał jej Buck. – John... Taggart – w porę przypomniał sobie prośbę Johna, by nie używać jego prawdziwego nazwiska – na pewno pojawi się w sądzie. Potwierdzi twoją wersję.

Nie odezwała się. Może potwierdzi, chociaż... Po jej dzisiejszym zachowaniu może uznać, że jednak ona, Sassy, prowokuje mężczyzn.

– Wracaj do domu, zjedz kolację i przestań się zadrećzać – powiedział z uśmiechem Buck. – Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Odetchnęła głęboko.

– Przypomina mi pan mojego dziadka. On też zawsze mówił, że wszystko się ułoży, że trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość. Był najcierpliwszym człowiekiem pod słońcem.

– Obawiam się, że ja taki nie jestem – rzekł Buck. – Ale zgadzam się z twoim dziadkiem. Czas leczy rany.

– Mam nadzieję... Dobranoc, panie Mannheim.

Wsiadła do starego pikapa, jaki dziadek zapisał jej w testamencie, i nie zwracając uwagi na czarny dym wydobywający się z rury wydechowej, ruszyła do domu. Pojazd sporo ją kosztował: dużo palił, poza tym ciągle trzeba było naprawiać silnik. Na szczęście oprócz podwyżki dostała dodatkowe pieniądze na benzynę.

Zaparkowała na podjeździe przy starym rozsypującym się domu i przez chwilę siedziała, przyglądając mu się z zadumą. Wymagał solidnego remontu. Dach przeciekał, schody na ganek zapadały się, framugi gniły... Na dawnym ranczu Bradbury'ego trwają prace budowlane, a przecież tamten dom był w znacznie lepszym stanie. Z przerażeniem myślała o zimie. W zeszłym roku musiały bardzo oszczędnie korzystać z pieca i grzejników; ratowały się kołdrami. W tym roku cena paliwa skoczyła o sto procent, więc...

Starła się nie myśleć o czekających ją kłopotach, a zwłaszcza o pogarszającym się zdrowiu mamy. Jeśli lekarz przepisze więcej leków, znów trzeba będzie się zadłużyć. Już i tak połowę przyszłotygodniowej pensji musi przeznaczyć na spłatę długu w aptece.

Skup się na czymś innym, nakazała sobie w duchu. Ludzie są ważniejsi od pieniędzy. Ha, łatwo powiedzieć. Jej skromna pensja musi starczyć na życie dla trzyosobowej rodziny. A teraz jeszcze ta sprawa w sądzie. Może szef Johna, gdy o tym usłyszy, nie będzie chciał jej dłużej zatrudniać. No i może John powie mu o jej dzisiejszym zachowaniu. Chryste!

Akurat weszła na ganek, kiedy z nieba lunął deszcz. Nie było czasu do stracenia. Należało czym prędzej podstawić wiadra pod trzy dziury, którymi woda zawsze lała się z sufitu. Jedna znajdowała się nad telewizorem. Oglądanie telewizji to jedyna rozrywka mamy. Na nowy odbiornik nie było ich stać. Ten miał niemal dwadzieścia lat, kolor się rozjeżdżał...

- Cześć! – Zamknęła za sobą drzwi.
- Skarbie, deszcz pada! – zawołała z sypialni matka.
- Wiem! Już lecę!

Z szafki pod zlewem chwyciła plastikowe wiaderko i pognała do salonu. Postawiła wiaderko na telewizorze, zanim spadły pierwsze krople. Odbiornik był zbyt duży i ciężki, aby mogła go przesunąć. Oczywiście mama nie mogła dźwigać, a Selene była jeszcze dzieckiem.

– Nie zapomnij o przecieku w kuchni! – Głos matki był zmieniony.

Niedobrze, pomyślała Sassy. Czyżby kolejne zapalenie oskrzeli? Ciekawe, czy uda jej się zmusić matkę, by pojechała do doktora Batesa? Jeśli matka odmówi, może lekarz zgodzi się przyjechać tutaj? To dobry człowiek; zna matkę Sassy i wie, jaka potrafi być uparta.

Uff, zabezpieczyła wszystkie przeciekające miejsca. Wkrótce po domu niosło się rytmiczne kap–kap–kap, gdy krople wody spadały do metalowych i plastikowych pojemników.

– Jak się czujesz? – spytała, zaglądając do sypialni mamy. – Kiepsko? Starsza kobieta z trudem pokiwała głową.

– Boli, jak kaszlę.

– Zadzwońię do doktora Batesa...

– Nie! – Matka znów zakasłała. – Mam antybiotyki. Potrzebuję tylko syropu. Jest w kuchni na szafce. – Zdobyła się na uśmiech. – Nie przejmuj się mną, kochanie. Co ma być, to będzie.

Sassy przygryzła wargi, usiłując powstrzymać łzy.

– Hej, maleńka moja...

Pani Peale wyciągnęła do córki chude ramiona. Sassy podbiegła do łóżka, ostrożnie przytuliła się do matki i zaniósła płaczem.

– Nie płacz. Jeszcze nie umieram – oznajmiła chora. – Zamierzam doczekać, aż Selene skończy szkołę średnią!

Zawsze to powtarzała i zawsze obie wybuchały śmiechem, ale w tym tygodniu Sassy miała zbyt wiele kłopotów w pracy. Z godziny na godzinę jej życie stawało się coraz bardziej skomplikowane.

– Miałyśmy dziś gościa...

Sassy usiadła, uśmiechając się przez łzy.

– Kogo?

– Pamiętasz syna Brada Dannera, Caleba? Podkochiwałeś się w nim, kiedy miałaś piętnaście lat.

Sassy przypomniała sobie chudego dryblasza o czarnych oczach i czarnych włosach, który nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

– Ostatni rok spędził w wojsku – ciągnęła pani Peale. Przyjechał z wizytą do rodziny i przy okazji postanowił cię odwiedzić. Zaprosiłam go na kolację.

– Na kolację? – spytała z przerażeniem Sassy. – Mamy tylko gulasz, a i to resztkę. Ledwo starczy dla trzech osób.

Pani Peale roześmiała się wesoło.

– Caleb obiecał kupić coś na wynos w Billings. Kurczaka, frytki, bułeczki, takie tam. Jeśli po drodze wystygnie, podgrzejemy w piekarniku.

– Prawdziwego kurczaka? – Na samą myśl Sassy pociekła ślinka. Ostatnimi czasy ona, mama i Selene jadły gulasze i zapiekanki z niewielką ilością mięsa, bo było ono za drogie. – I bułeczki?

– Pewnie spojrzał na mnie i uznał, że przymieram głodem – rzekła pani Peale. – Bardzo nalegał. Po prostu nie mogłam mu odmówić.

– Och, ty podstępna kobieto! Przyznaj się, jak to było?

– No dobrze. Mnie burczało w brzuchu, a Caleb opowiadał, co wczoraj kupił na kolację dla siebie i ciotki. Mimochodem wspomniałam, że nawet

już nie pamiętam smaku kurczaka. Słyszając to, zaproponował, że wpadnie z kurczakiem na kolację. Co miałam powiedzieć?

Sassy uściskała matkę.

– Przynajmniej zjesz jeden solidny posiłek w tym tygodniu. Selene też.

– Nagle zmarszczyła czoło. – Gdzie ona się podziewa?

– Jest w swoim pokoju, odrabia lekcje. Musimy znaleźć sposób, żeby wysłać ją na studia.

– Coś wymyślimy – obiecała Sassy. – Zresztą podejrzewam, że dostanie stypendium za doskonale wyniki w nauce. To dobra uczennica.

– Też taka byłaś... Przebierz się, skarbie. Włóż świeżą bluzkę i czyste dżinsy. I może umaluj sobie oczy. Caleb jest przystojny i z nikim się nie spotyka.

– Tylko mi nie mów, że go o to pytałaś!

– Owszem. Bardzo delikatnie. –Mamo!

– Nie należy zniechęcać potencjalnych adoratorów – rzekła ze śmiechem pani Peale. Po chwili spoważniała. – Wiem, że lubisz pana Taggerta, ale on mi się wydaje... hm...

Sassy zamarła. Matka miała niesłychaną intuicję.

– Ojej, chyba nie sądzisz, że jest oszustem czy złodziejem?

– Ach, skądże! Po prostu nie pasuje mi do obrazu zarządcy. Jest inteligentny, wykształcony, zachowuje się inaczej niż tutejsi kowboje. Sprawia wrażenie człowieka obytego w świecie, który mieszka w pięknym eleganckim domu...

– Powiedział mi, że chciałby kiedyś zawansować na kierownika rancza

– zdradziła matce Sassy. – Może pracuje nad swoim wizerunkiem?

– Niewykluczone. Ale wydaje mi się, że on coś ukrywa.

– Och, ta twoja intuicja!

– Posiadasz identyczną. Obie odziedziczyłyśmy ją po twojej babce. Ona to umiała przewidywać przyszłość! Chociaż... – Nagle pani Peale urwała. – Z jedną przepowiednią chyba mocno przesadziła.

– Z jaką?

– Stwierdziła, że ja będę biedna, ale moją córkę czeka życie w luksusie. Przykro mi, kochanie, ale jakoś to mi się wydaje mało prawdopodobne.

– Każdy ma prawo się pomylić.

– Wiem. Leć się przebrać.

–Dobrze, chociaż to nic nie da. Nie przeistoczę się w miss świata.

– Uroda, skarbie, przemija, osobowość i charakter zostają – oznajmiła matka.

Sassy westchnęła ciężko.

– Niewielu mężczyzn szuka kobiety z charakterem.

– Może ten będzie pierwszy.

Kapral Caleb Danner był wysoki, przystojny, umięśniony i niezwykle uprzejmy. Służył w Afganistanie jako specjalista od łączności; potrafił też naprawiać silniki, ale kiedy zgłosił się do wojska, okazało się, że bardziej niż mechaników potrzebują łącznościowców.

– Pewnie ci tam ciężko? – spytała pani Peale, która mimo protestów córki z pomocą gościa doszła do stołu.

– Ano ciężko.

–Strzelacie do ludzi? – zaciekawiała się Selene.

– Selene! – oburzyła się Sassy.

– Staramy się tego nie robić – odparł – ale czasem miejscowi watażkowie do nas strzelają i wtedy musimy się bronić.

– To musi być niebezpieczne – szepnęła Sassy.

– Owszem, bywa – przyznał Caleb. – Ale wykonujemy zadanie, jakie nam przydzielono, i usiłujemy nie myśleć o zagrożeniu. – Popatrzył na Selene. – Wokół naszego obozu kręci się mnóstwo dzieci. Żebrzą o cukierki i batony.

– Dziewczynki również?

– Głównie chłopcy. W Afganistanie panują inne zwyczaje niż w Ameryce. Tam dziewczynki trzymają się blisko matek, a chłopcy łążą za ojcami.

– Ja za moim też wszędzie łążiłam. Ale on odszedł.

– Odszedł? – spytał Caleb i skinął głową, gdy z ruchu warg Sassy wyczytał: „umarł”.

– Może napijesz się jeszcze kawy? – zaproponowała pani Peale.

– Dziękuję. Jest pyszna.

Kawa była zbyt droga, dlatego w domu Peale'ów pijano ją od święta. Dziś, ze względu na gościa, Sassy zaparzyła cały dzbanek. Mama powiedziała, że Caleb uwielbia dobrą kawę, a zważywszy na to, że zafundował im kolację, przynajmniej w ten sposób mogły się odwdziżyć.

Po kolacji obejrzeli w telewizji wiadomości, po czym Caleb oznajmił, że musi wracać do Billings: obiecał ciotce, że pójdzie z nią do kina na nocny seans.

– Ale chętnie wpadłbym tu jeszcze raz przed powrotem do Afganistanu – dodał.

– Zapraszamy – rzekła Sassy. – To był bardzo miły wieczór.

– Następnym razem przygotowujemy dla ciebie pyszną zapiekankę z serem – obiecała pani Peale.

– A czy pozwoli pani, że ja kupię ser? Uwielbiam jeden konkretny gatunek...

Starsza pani przejrzała go na wylot: chciał im pomóc, bo widział, że ledwo przęda. Nie dała jednak niczego po sobie poznać.

– Ależ oczywiście.

– Doskonale, a więc tak się umawiamy. Sassy, odprowadzisz mnie do samochodu?

– Jasne. – Poderwała się na nogi i wyszła z nim na zewnątrz.

– Kuzynka mojej ciotki mieszka w Hollister – rzekł cicho, stojąc przed autem. – Mówi, że twoja mama jest bardzo chora.

Sassy skinęła głową.

– Ma raka płuc.

– Jeśli w czymkolwiek będę mógł ci pomóc... Twoja mama bardzo troskliwie zajmowała się moją kuzynką, kiedy jej mąż zginął w śnieżycy. Nikt z nas o tym nie zapomniał.

– Jesteś bardzo miły. Ale dzięki, dajemy sobie radę.

– Ciotka przygotowała dla mnie cały harmonogram zajęć. Sprawdzę, co na kiedy zaplanowała i jeśli można, to wpadnę do was jutro po południu i powiem, kiedy mam wolne.

– Nie musisz się fatygować. Możesz zadzwonić.

– Wolę podjechać. Przynajmniej wykręcę się od podwieczorku z przyjaciółmi ciotki, którzy mają córkę na wydaniu.

– Aha! Boisz się, że zastawią na ciebie sidła?

– Trochę – przyznał. – Powiedz, jesteś z kimś związana?

– Nie. A ty? Nie zadurzyłeś się?

– Zadurzyłem, ale mam problem. Bo to dziewczyna mojego przyjaciela.

– Ja też mam problem. Tylko mój problem chyba nie ma dziewczyny.

– Ale tobą nie jest zainteresowany?

– Najwyraźniej nie.

– Los sobie z nas zakpił. – Uśmiechnął się ciepło. – Wiesz, w szkole byłem tak nieśmiały, że nigdy nie odważyłem się zaprosić cię na randkę. A chciałem. Podobałaś mi się, byłaś taka pogodna, taka radosna.

Sassy ogarnęło zdumienie. W jej pamięci Caleb zadzierał nosa i nigdy nie zwracał na nią uwagi.

– Też byłem nieśmiały – rzekła. – Po prostu nadrabiałam wesołością.

– Nauczyłem się tej sztuczki w wojsku. Słuchaj, a ten twój facet to ktoś miejscowy?

– Tutaj pracuje. Jego szef kupił dawne ranczo Bradbury'ego...

– Tę ruinę? Po co?

– Zamierza doprowadzić ją do porządku, a potem hodować rasowe bydło.

– Kosztowna inwestycja. Kim on jest, ten szef?

– To bracia Callisterowie z Medicine Ridge.

– Słyszałem o nich. Jeden z ich ludzi był w mojej jednostce. Mówił, że nigdzie mu się tak dobrze nie pracowało. Że bracia nie są z tych, co to siedzą w salonie, popijając whisky, lecz zakasują rękawy i pracują na równi z innymi.

– Wyobrażasz sobie być milionerem i samemu znakować bydło?

– Nie miałbym nic przeciwko temu – oznajmił ze śmiechem Caleb. – Chociaż ja akurat nie planuję kariery ranczera. Po wyjściu z wojska chciałbym pracować w warsztacie samochodowym. Uwielbiam naprawiać silniki.

Zmrużyła oczy.

– Tak? To może naprawiłbyś mój? Ciągnie się za mną czarna smuga dymu.

– Ile ten pojazd ma lat?

– Ze dwadzieścia.

– To nie warto. Lepiej sprzedać go na złom i kupić nowy.

– Chciałabym. Ale wydajemy wszystko co do grosza. Nie stać mnie na spłaty.

– A nie myślałaś o przeprowadzce? – spytał. – W Billings znalazłabyś lepszą pracę.

– Tak, ale musiałybyśmy wynająć mieszkanie. Tu przynajmniej mamy własny dom.

– Nie masz lekko, Sassy.

– To prawda, ale kocham swoją rodzinę. Popatrzył w jej zielone oczy.

– Fajna z ciebie babka, Sassy. Szkoda, że zadurzyłem się w dziewczynie mojego kumpla.

– Wystarczy mi twoja przyjaźń, Caleb. Możemy się sobie wypłakiwać w kamizelkę, a jak mi dasz swój adres, to nawet mogę do ciebie pisać listy.

Twarz mu pojaśniała.

– Świetnie. Może uda mi się zmylić kumpla. Był zły, że tak długo wpatruję się w zdjęcie jego dziewczyny.

– Przyślę ci swoje. Powiesz mu, że patrzyłeś na nią, bo przypomina ci mnie.

– Nawet jesteście podobne. Naprawdę przyślesz mi zdjęcie?

– Pewnie. W końcu od czego są przyjaciele?

– Może kiedyś ci się odwdziczę. – Wsiadł do ciężarówki. – Zatem do jutra.

Odprowadzając go wzrokiem, przypomniała sobie, że zostało sporo kurczaka. Trzeba go schować do lodówki, zanim Selene się na niego rzuci. Jak dobrze pójdzie, wystarczy im jedzenia na kilka dni. Kochany Caleb.

John Callister spędził weekend z bratem, z Kasie i dziewczynkami. Miejsce Kasie, która przed ślubem z Gilem była ich sekretarką, zajął Arnold Sims, starszy pan, równie miły i prawie tak kompetentny jak ona.

Przyjemnie było uciec na kilka dni od hałasu i remontu, ale w końcu nadszedł czas powrotu. Trochę się go John obawiał; pamiętał, jak Sassy zbladła, kiedy się od niej odsunął. Pewnie pomyślała sobie, że brzydzi go jej dotyk. A było wprost przeciwnie.

Jakoś będzie musiał się wytłumaczyć. Minęło kilka dni, ochłonał. Coś wymyśli. A ona mu wybaczy, nie miał co do tego wątpliwości. Nie należy do osób, które długo żywią urazę.

Kiedy w poniedziałek zaszedł do sklepu, przeżył jednak szok. Sassy stała oparta o ladę, uśmiechając się do przystojniaka w dżinsach. W dodatku ten przystojniak trzymał ją za rękę.

John poczuł ostre ukłucie w sercu. Parę dni temu przytknęła dłoń do jego piersi i utkwiała w nim swoje zielone oczy. Teraz zachowuje się w podobny sposób z innym mężczyzną. Czyżby była niepoprawną flirtiarą?

Podszedł do pary przy ladzie. Przystojniak nie wydawał się speszony jego obecnością.

– Cześć, Sassy. Dotarło już moje zamówienie? – spytał.

– Zaraz sprawdzę – odparła i udała się pośpiesznie na zaplecze. Na sam widok Johna serce biło jej szybciej.

– Jestem John Taggert – powiedział John, zwracając się do przyjaciela Sassy. – Pracuję na dawnym ranchu Bradburyego.

– Caleb Danner – przedstawił się obcy. – Chodziłem z Sassy do szkoły.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

– Pracujesz w okolicy?

– Jestem w wojsku, w jednostce komandosów. Przyjechałem na dwutygodniową przepustkę. Mieszkam u ciotki w Billings.

– Kawałek drogi stąd – zauważył John.

– Owszem. Ale obiecałem Sassy, że zabiorę ją do kina i akurat zrobił mi się wolny wieczór. Więc...

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez otwarte drzwi John z zaciekawieniem i z lekką zazdrością obserwował Sassy, która przeglądała faktury. Zastanawiał się, co ją łączy z Calebem. Trochę mu przeszkadzało, że facet pojawił się znikąd i sprzątnął mu dziewczynę sprzed nosa.

Szukając zamówienia, Sassy próbowała opanować zdenerwowanie. Udało się jedno i drugie. Kiedy John wszedł do sklepu, ubrany w ciasne dżinsy, niebieską koszulę w kratę, czarne kowbojki i kapelusz, wyglądał fantastycznie. Nie powinna pożerać go wzrokiem...

– Nastąpiło niewielkie opóźnienie; towar dojdzie w piątek. Jeśli to za późno – dodała, widząc wyraz irytacji na twarzy Johna – poproszę pana Mannheima, żeby zadzwonił do...

– Nie, nie ma pośpiechu. Najpierw muszę naprawić ogrodzenie i dokończyć pomieszczenia gospodarcze, dopiero potem sprowadzę bydło. Po prostu chciałem, żeby pasza czekała...

– Będzie najpóźniej w piątek – obiecała Sassy.

Starał się nie patrzeć jej w oczy. W dżinsach i białej haftowanej bluzce wyglądała prześlicznie. Twarz miała lekko zarumienioną. Pewnie z powodu wizyty przystojniaka, przemknęło mu przez myśl. Psiakrew.

– Doskonale. Albo sam wpadnę, albo przyślę któregoś z pracowników.

Skinąwszy Calebowi na pożegnanie, odwrócił się i skierował ku drzwiom. Caleb zauważył, że Sassy się zaczerwieniła.

– To on?

Wypuściła z płuc powietrze.

– Tak.

– Cholera...

– O co ci chodzi? – spytała.

– Nie, o nic – odparł.

Na jego oko Taggert był doświadczonym facetem, który niejedno w życiu widział. Poza tym sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do wydawania poleceń. Do Sassy, która stanowiła jego przeciwieństwo, zwracał się uprzejmie, ale bezosobowo. Calebowi zrobiło się jej żal. Nie chciał odbierać Sassy nadziei, podejrzewał jednak, że ona ma taką samą szansę zdobyć serce Taggerta, jak on, Caleb, serce dziewczyny swojego przyjaciela.

– To co, pójdziemy do kina? – spytał, zmieniając szybko temat. – Lecą trzy nowe filmy...

Pojechali do jedyne go kina w miasteczku. Gdzieś na obrzeżach miasta było drugie, dla zmotoryzowanych, ale Caleb wołał tradycyjne.

Sassy martwiła się, czy może zostawić mamę i Seline same w domu, ale pani Peale nie pozwoliła córce zrezygnować z randki. Miała telefon na kartę; gdyby coś się działo, obiecała zadzwonić na komórkę Caleba.

Po filmie Caleb odwiózł Sassy do domu.

– Został mi jeszcze rok służby – powiedział, dojeżdżając na miejsce. – Wiesz, wczoraj odwiedziłem kuzyna, który ma salon samochodowy oraz warsztat. I wyobraź sobie, że zaproponował mi spółkę: on się będzie zajmował sprzedażą aut, a ja naprawą. – Oczy lśniły mu z podniecenia. – Całe życie o tym marzyłem.

– Mam nadzieję, że wszystko ci się uda. Pochyliwszy się, cmoknął ją w policzek.

– Świetna z ciebie dziewczyna, Sassy. Żałuję, że...

– Ja też – rzekła, czytając w jego myślach. – Ale życie zdecydowało inaczej. Kiedy kończy ci się przepustka?

– Za tydzień, ale ciotka zaplanowała mi każdy dzień. Na dziś też miała dla mnie plany, ale się wykręciłem.

– Dzięki za kino. I za kurczaka.

– A ja dziękuję za pyszną zapiekankę. – Zamilkł. – Słuchaj, mówiłem serio: jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, zadzwoń.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze. A gdybym ja mogła ci w czymkolwiek pomóc...

– Możesz. Przyślij mi swoje zdjęcie. Może wtedy kumpel da mi spokój.

– Masz to jak w banku – obiecała.

– Zadzwonię przed wyjazdem. Trzymaj się, Sassy.

– Ty też, Caleb.

Odjechał, ona zaś weszła na ganek i zamknęła za sobą drzwi. Była w połowie drogi do salonu, gdy zorientowała się, że jeden z przytłumionych głosów, które docierają z głębi domu, należy do mężczyzny.

Na jej widok John Taggert podniósł wzrok. Matka siedziała obok niego na kanapie, uśmiechając się niczym słynny kot z Cheshire.

– Pan Taggert wpadł sprawdzić, jak się miewam. Czy to nie urocze?

– Bardzo – potwierdziła uprzejmie Sassy.

– Jak film? – spytał John bez uśmiechu.

– Rysunkowy. Zabawny.

– W sam raz dla dzieci.

– W głębi serca wszyscy jesteśmy dziećmi. O to panu chodziło, prawda, panie Taggert? – spytała pani Peale.

Zreflektował się.

– Tak, oczywiście. Ja też uwielbiam kreskówki. Często zabieram na nie dziewczynki.

– Dziewczynki? – Pani Peale zmarszczyła czoło.

– Moje bratanice. Na okrągło mogłyby oglądać filmy rysunkowe.

Zwykle brat z żoną wożą je do kina, ale czasem ich zastępuję.

– Lubi pan dzieci?

– Kocham.

Pani Peale otworzyła usta. Wiedząc, co matka zamierza powiedzieć, Sassy nie dopuściła jej do głosu.

– Caleb obiecał zadzwonić, zanim wyjedzie z kraju.

– To miło. – Oczy matki rozblęły. – To taki sympatyczny młody człowiek.

– Bardzo sympatyczny – przyznała córka.

– Napije się pan czegoś, panie Taggert? Sassy mogłaby zaparzyć kawy...

John spojrzał na zegarek.

– Dziękuję, ale muszę już iść. Chciałem tylko sprawdzić, czy niczego pani nie trzeba. Przyjaciel Sassy wspomniał, że idą do kina i pomyślałem sobie, że pani tu sama siedzi...

Sassy rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Zostawiłam mamie telefon komórkowy.

– To prawda – potwierdziła pani Peale. – Córka troskliwie się mną zajmuje. To ja się uparłam, żeby wyszła z domu. Od trzech lat nie miała wolnego wieczoru.

John nagle poczuł się niezręcznie.

– Nie lubi zostawiać mnie bez opieki – kontynuowała matka. – Ale to nie fair, żeby osoba w jej wieku brała na siebie tak dużą odpowiedzialność.

– Mnie to nie przeszkadza – zaproponowała Sassy. – Przecież cię kocham.

– Wiem, skarbie, ale powinnaś widywać się z innymi ludźmi.

Chciałabym, żebyś wyszła za mąż, miała dzieci. Nie możesz spędzić reszty życia, opiekując się starą chorą kobietą i...

– Mamo, błagam. Na razie nie myślę o żadnym zamążpójściu.

Pani Peale pokręciła ze smutkiem głową.

– To niedobrze, że wszystko spoczywa na twoich barkach. Gdyby tylko twój ojciec... No, ale na to nic nie poradzimy.

Sassy popatrzyła na gościa.

– Odprowadzę cię do drzwi – rzekła. Chciała się go pozbyć, zanim matka powie coś więcej.

– Już idę?

– Tak. – Odsunawszy się na bok, Sassy wskazała głową korytarz.

– W takim razie życzę pani dobrej nocy. – Uśmiechnął się do pani Peale. – I proszę do mnie dzwonić, gdyby pani czegoś potrzebowała. Wprawdzie nie służę w wojsku, ale posiadam wiele przydatnych umiejętności...

– Tędy, John – przerwała mu Sassy.

– Dobranoc, pani Peale.

– Dobranoc, panie Taggart. – Oczy lśniły jej wesoło. Skierował się za Sassy na ganek. Wyszędłszy na zewnątrz, dziewczyna zamknęła za sobą drzwi.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytał z rozbawieniem w głosie. – Zamierzasz mnie pocałować i nie chcesz, żeby mama widziała?

Sassy oblała się rumieńcem.

– Nie pocałowałabym cię, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na świecie! Diabli wiedzą, co porabiałeś w ten weekend!

– W ten weekend? – Obracał w dłoniach kapelusz. –Wybrałem się do Medicine Ridge, żeby zdać sprawozdanie swoim szefom.

Wzruszyła ramionami. John przestał bawić się kapeluszem; przez moment przyglądał się jej uważnie.

– Ten twój wojak sprawia wrażenie odpowiedzialnego człowieka – rzekł. – Może jeszcze nie jest całkiem dojrzały, ale dojrzałość przychodzi z wiekiem.

Ogarnęła ją złość.

– Ten mój wojak, jak go nazywasz, służy w Afganistanie. W jednostce komandosów.

Uniósł brwi.

– Takie stawiasz facetom wymagania? Żeby potrafili strzelać, a sami nie dali się zastrzelić?

– Niczego takiego nie mówiłam!

– Swoją drogą to przydatna umiejętność, odskakiwanie w bok, gdy leci kula albo gdy kobieta rzuca garnkiem.

– Jeszcze w nikogo nie rzucałam garnkami, ale jeśli chcesz wrócić do kuchni, mogę uczynić dla ciebie wyjątek!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Miała ognisty temperament, choć na co dzień skutecznie go skrywała.

– A jaki byłby to garnek? – spytał.

– Ciężki! Żeliwny – warknęła. – Ale podejrzewam, że i tak by się wgniótł.

– Aż tak twardej głowy nie mam.

Postąpił krok bliżej. Widział, że jego bliskość ją peszy. Włożył kapelusz, zsunął go z czoła, po czym objął Sassy w pasie i przyciągnął do siebie.

– Jesteś silna i odważna – powiedział cicho, patrząc na jej miękkie usta. – Przed niczym się nie cofasz.

– Nie... powinieneś mnie tak trzymać – zaprotestowała nieśmiało.

– Dlaczego? Mmm, podoba mi się twój zapach. – Pochylił lekko głowę.

– Myślę, że twój smak też mi się spodoba.

Zbliżył wargi do jej ust, a ona zacisnęła ręce na jego ramionach, jakby się bała tego, co za moment się wydarzy.

– Spokojnie – szepnął, wyczuwając jej strach. – Nic złego się nie dzieje. Po prostu mi zaufaj...

Zaczął ją całować, delikatnie rozsuwać językiem jej wargi. Serce zabiło jej mocniej, w głowie jej zawirowało. Przestała tak kurczowo wbijać palce w ramiona Johna. Dobry jest, pomyślała. Dokładnie wie, kiedy zwolnić, kiedy przyspieszyć, kiedy znieruchomieć. Bawił się jej dolną wargą, aż w końcu Sassy nie wytrzymała, zaczęła mruzczyć...

Czytając w jej myślach, przytulił ją mocniej. Żar pocałunku sprawił, że rozchyliła wargi, zamknęła oczy i zaczęła odwzajemniać pieszczoty. Dreszcze przebiegały jej po skórze. Jeszcze żaden mężczyzna nie całował jej tak namiętnie, jeszcze żaden jej tak nie podniecał.

Powoli tracił nad sobą kontrolę. Wiedział, że musi się wziąć w garść. Sassy ma dopiero dziewiętnaście lat. Chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy, jest jego podwładną. Wszystko ich dzieli. Co on najlepszego wyprawia? Zdyszany, opuścił ręce i cofnął się krok. Zazdrość z powodu Caleba sprawiła, że postąpił w sposób nieodpowiedzialny i zachował się jak dureń.

Sassy stała naprzeciw niego, z rozmarzonym spojrzeniem, czekając na jego dalszy ruch.

– To był błąd – oznajmił krótko.

– Na pewno? – spytała lekko oszołomiona.

- Na sto procent. – W jego głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia.
- Więc dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mnie pocałowałeś?
- Diabli wiedzą. Może pełnia księżycy tak na mnie podziałała.
- To sierp, a nie pełnia.
- Co za różnica – mruknął.
- W porządku.
- Psiakrew, masz dziewiętnaście lat. – Widać było, że z sobą walczy. –

A ja trzydzieści jeden.

- Więc?
- Więc nie pasujemy do siebie. Ani wiekiem, ani doświadczeniem.
- Trudno zdobyć doświadczenie, kiedy się mieszka w małym miasteczku i opiekuje chorą matką.

Zacisnął zęby.

- Nie w tym rzecz...
- Wiem. Po prostu wypiliśmy dziś za dużo kaw, a nadmiar kofeiny powoduje, że rzucasz się na kobiety.
- Wypiłem jedną kawę.
- Hm, w takim razie nie zdołałeś się oprzeć mojej zniewalającej urodzie i czarowi. – Czekwała z założonymi rękami, aż John odrzuci i tę koncepcję. Zsunął kapelusz nisko na czoło.
- Miałem okres posuchy.
- Cóż za komplement! – oznajmiła ironicznie. – Czuleś się samotny, a ja byłem jedyną wolną kobietą w okolicy?
- A żebyś wiedziała!
- E tam. Dwa kilometry stąd mieszka pani Harmon.
- Pani Harmon?

– Tak, jej mąż nie żyje od piętnastu lat. A ona, choć ma koło pięćdziesiątki, nosi obcisłe spódnice i ostro się maluje. W półmroku wygląda całkiem, całkiem.

Zmrużył gniewnie oczy.

– Nie jestem aż tak zdesperowany.

– Jesteś. Sam się przyznałeś.

– Nieprawda!

– Skoro podrywasz dziewiętnastolatki...

– Nie podrywam! – Powoli tracił cierpliwość.

Zmierzyła go spojrzeniem.

– Dobrze, powiem ci, o co chodzi. O moje sumienie. Nie zdołałbym go zagłuszyć...

Sassy w milczeniu przetrwała jego słowa. Czyli dlatego parę dni temu odepchnął ją w sklepie! Bo uznał, że jest dla niej za stary. A nie dlatego, że mu się nie podoba.

– Za miesiąc skończę dwadzieścia lat.

– A ja za dwa miesiące trzydzieści dwa.

– Czyli przez trzydzieści dni będziemy prawie w tym samym wieku – stwierdziła.

Roześmiał się.

– Dwanaście lat różnicy to bardzo dużo, zwłaszcza dla osoby tak młodej jak ty.

– W dziejach świata to tyle co nic.

Nie odezwał się.

– Dzięki, że zajrzałeś do mojej mamy. To ładnie z twojej strony.

Wzruszył ramionami.

– Chciałem się przekonać, czy wojak smali do ciebie cholewki.

– Słucham?

– Nawet nie pocałował cię na dobranoc.

– Dlatego, że jest zakochany w dziewczynie swojego przyjaciela.

– Serio? – Twarz Johna pojaśniała.

– Chciał mi się wyżalić. Z facetami spotykam się wyłącznie wtedy, kiedy któryś ma problemy sercowe i potrzebuje rady. – Przyjrzała mu się badawczo. – Ty też szukasz rady?

– Tak. Chciałbym wiedzieć, jak postąpić z kobietą, która mi się podoba, ale jest dla mnie za młoda.

Dopiero po chwili skojarzyła, że mówi o niej. Przysunął się bliżej i odgarnął kosmyk z jej czoła.

– Pewnie raz na jakiś czas mógłbym ją gdzieś zaprosić – dodał. – Ale nie myśl, że szukam kochanki.

– To dobrze, bo nie zamierzam nią zostać.

– Cieszę się, że masz dość silnej woli, by trzymać mnie na dystans.

– Co do silnej woli to nie wiem. Ale mam matkę, która zabiłaby cię, gdybyś sprowadził mnie na drogę grzechu. To bardzo religijna kobieta.

– Chorzy często szukają pocieszenia w religii – rzekł. – A twoja mama jest wyjątkową osobą. Niezwykle dzielną.

– Tak ją kocham.

– Twoja miłość dodaje jej sił. – Schyliwszy się, delikatnie musnął wargami jej usta. – Do zobaczenia.

Uśmiechnęła się. – Tak, do jutra.

Ruszył po schodkach, nagle zatrzymał się i obrócił.

– Na pewno nic cię nie łączy z wojakiem?

– Słowo honoru.

– No dobra.

Sassy odprowadziła go wzrokiem do samochodu. Patrzyła, jak wsiada i odjeżdża. Podniósłszy rękę, pomachała mu na pożegnanie. Nie zareagował, nie wykonał żadnego gestu. Nie wiedzieć czemu, zrobiło się jej smutno.

W nocy wiercił się z boku na bok, rozmyślając o Sassy. Od kilku tygodni toczył z sobą walkę. I ją przegrywał. Sassy jest dla niego za młoda. Z drugiej strony jest bardziej dojrzała od większości kobiet w jej wieku. Silna, niezależna, odpowiedzialna, od lat pełni rolę głowy rodziny, zarabiając na utrzymanie trzech osób. Podziwiał ją za jej poświęcenie, za ciężką pracę, za nieuchylanie się od obowiązków.

Słowem, za bardzo mu się podobała, aby mógł otrzepać ręce i odejść. Gotów był podjąć ryzyko. Bądź co bądź wielokrotnie ryzykował, i to z kobietami, które nie dorastały Sassy do pięt. Może coś dobrego z tego wyniknie?

Pochodzą z dwóch różnych światów. Jego rodzice są bogaci, spokrewnieni ze znanymi książęcymi rodami z Europy, natomiast on i jego brat stworzyli najlepszą na świecie hodowlę byków zarodowych. Podróżował pierwszą klasą, mieszkał w pięciogwiazdkowych hotelach, jadł w ekskluzywnych restauracjach, jeździł limuzynami. Sassy całe życie spędziła w małym miasteczku. Nie znała jego świata, pewnie nie umiałaby się do niego przystosować.

Zganił się w duchu: niepotrzebnie wybiega myślą naprzód. Przecież nie jest zakochany, nie zamierza się z Sassy żenić. Chce się z nią umówić kilka razy. To wszystko. Potem, kiedy zakończy pracę nad ranczem i będzie gotów wrócić do Medicine Ridge, wyzna jej prawdę. To takie proste, tłumaczył sobie. Spotkać się kilka razy, porozmawiać, spędzić miło czas. A gdy nadejdzie pora rozstania... wtedy każde ruszy w swoją stronę.

Uporawszy się z chaosem w głowie, zasnął.

Nazajutrz znów wybrał się do sklepu z kolejną listą zakupów, tym razem rzeczy potrzebnych do domu. Nie mógł się doczekać, kiedy ujrzy Sassy. Wczorajszy pocałunek sprawił, że śniła mu się w nocy.

Na miejscu jednak zastał samego Bucka Mannheima, który w dodatku miał bardzo zafrasowaną minę.

– Gdzie Sassy?

– Zadzwoiła rano, potwornie zapłakana. Jej matka poczuła się gorzej.

Karetka zabrała ją do szpitala w Billings...

John nie słuchał. Rzucił się pędem do drzwi.

Sassy siedziała w szpitalnej poczekalni, tuląc do siebie Selene. Obie były blade i wystraszone.

Kiedy wszedł do sali, rzuciły mu się w ramiona, szukając w nich pocieszenia. Dziwnie się poczuł. Jakby naprawdę był im potrzebny. Dotąd był potrzebny wyłącznie własnej rodzinie.

Objął je z całej siły.

– Powiedz, co się stało? – szepnął Sassy do ucha.

Odsunęła się nieco, brzegiem bluzki wycierając łzy. Oczy miała podkrążone; widać było, że nie spała.

– Strąciła dzbanek z wodą. Gdyby nie to, nie wiedziałabym, że dzieje się coś złego. Pobiegałam sprawdzić. Mama z trudem oddychała. Po prostu się dusiła. Zadzwoiłam do doktora Batesa, a on wezwał karetkę i uprzedził onkologa. Zajmują się mamą już dwie godziny. Nikt ze mną nie rozmawiał.

Podprowadził obie dziewczyny do stojących pod ścianą krzeseł.

– Poczekajcie tu. Postaram się czegoś dowiedzieć.

Sassy przyjrzała mu się z wdzięcznością, ale nie bardzo wierzyła, aby kowboj, nawet pełniący funkcję zarządcy rancza, był w stanie uzyskać więcej informacji niż rodzina pacjentki.

– Dziękuję.

Obróciwszy się na pięcie, oddalił się korytarzem.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miał pieniądze i wpływy, potrafił korzystać z jednego i drugiego. W ciągu dwóch minut dotarł do gabinetu dyrektora. Przedstawił się, wyjaśnił, co tu robi i poprosił o informację. Nawet w Billings wszyscy znali nazwisko Callister. Pięć minut później John rozmawiał z lekarzem, który przyjął matkę Sassy do szpitala. Spytał, czy coś więcej można dla chorej zrobić.

– Można – przyznał lekarz. – Niestety ogranicza nas sytuacja finansowa rodziny. Pani Peale oczywiście ma ubezpieczenie, mówi jednak, że stać ją wyłącznie na leczenie objawowe. Gdyby się zgodziła, można by jej usunąć chore płuco, następnie zastosować radio– oraz chemioterapię. Miałyby duże szanse na...

– Jeżeli to tylko kwestia pieniędzy, wszystko pokryję. Bez względu na koszty.

Lekarz uśmiechnął się.

– Czy porozmawia pan z dyrektorem od spraw finansowych?

– Oczywiście.

– W takim razie ja porozmawiam z pacjentką.

– Aha, pani Peale i jej córki myślą, że jestem zarządcą na ranczu – wyjaśnił John. – Nie wiedzą, kim naprawdę jestem. I wolałbym, żeby tak pozostało.

Lekarz zmarszczył czoło.

– Można spytać dlaczego?

– Bałem się, że koszty robocizny poszybują w górę, kiedy miejscowi dowiedzą się, z kim mają do czynienia. A potem... potem było za późno, żeby wszystko odkręcać. Pani Peale i jej córki to moi przyjaciele. Nie chcę, żeby zaczęły mnie traktować inaczej.

– Sądzi pan, że tak by było?

– Nie wiem – przyznał John. – Pieniądze, władza, sława przysłaniają prawdziwy charakter człowieka. Przynajmniej na początku ludzie nie widzą, jaki jestem, tylko co mam.

Lekarz pokiwał głową.

– Rozumiem. Zaraz uruchomię całą procedurę... Postępuje pan bardzo szlachetnie – dodał. – Bez leczenia pani Peale zostałyby niewiele życia.

Załatwiwszy formalności z dyrektorem, John wrócił do poczekalni. Seline spała zwinięta w fotelu, a Sassy wydeptywała ścieżkę w podłodze.

– John! Jak to zrobiłeś? – spytała, spoglądając na niego z niedowierzaniem. – Lekarz powiedział, że zoperują mamę! Później poddadzą ją chemioterapii i naświetlaniom. Ale będzie żyła! Podobno są specjalne dotacje dla ludzi biednych... Boże, mama będzie żyła! – Sassy zaniósła się szlochem.

John zgarnął ją w ramiona, po czym leciutko musnął wargami jej skroń.

– Cii, nie smuć się. Wszystko będzie dobrze.

– Ja... ja się cieszę – odparła, pociągając nosem. – Nawet nie podejrzewałam, że takie dotacje istnieją. Gdybym wiedziała, stanęłabym na głowie, żeby zdobyć pieniądze. Myślałam, że będziemy patrzeć, jak mama powoli umiera...

– Nie umrze, nie pozwolimy na to – przyrzekł szeptem John. Wielokrotnie pomagał innym, ale po raz pierwszy jego pomoc zdecydowała o życiu lub śmierci osoby, na której mu zależy.

– Przepraszam. – Wierzchem dłoni Sassy przetarła twarz. – Ciągle tylko płaczę i płaczę. Ale jestem taka szczęśliwa! Powiedz, John, jak tego dokonałeś?

Pokazał w uśmiechu zęby.

– Spytałem, czy nic więcej nie można dla twojej mamy zrobić. Lekarz powiedział mi, że sprawdzi. I znalazł informację o dotacjach.

– Niesamowite! W dodatku w szpitalu akurat przebywa z wykładami jakiś wybitny chirurg. I to on będzie mamę operował. Już jutro. Lekarz prowadzący rozmawiał z mamą, wszystko jej wyjaśnił... Jest taka przejęta! – Sassy ponownie wytarła łzy. – Jechała do Billings pewna, że umrze, a tu proszę, niespodzianka! Najcudowniejsza na świecie. Mama będzie żyła, może nawet zobaczy, jak Selene odbiera dyplom ukończenia studiów. – Popatrzyła z wdzięcznością na Johna. – Dziękuję.

Obudzwszy się, Selene przysłuchiwała się rozmowie.

– Słyszysz, żabko? Teraz nie masz wyboru. Musisz iść na studia.

– Chcę zostać lekarzem – oznajmiła dziewczynka.

– Skoro chcesz, to zostaniesz – rzekł John. – Bez trudu otrzymasz stypendium.

Sassy przytuliła siostrę. Ta podniosła uradowany wzrok na Johna.

– Uratowałeś naszą mamę. Tak bardzo ją kochamy.

– A ona was. Miło mieć mamę, która nas kocha, prawda? – spytał, nieświadom tego, że zdradza coś ze swojego życia.

Sassy wysłała siostrę do automatu z napojami, sama zaś zwróciła się do Johna:

– Jaka była twoja mama, kiedy byłeś mały?

– Nie miałem matki. Mnie i mojego brata wychowywał wuj.

– Ojej! Twoi rodzice nie żyją?

– Żyją, ale nie chcieli się nami zajmować.

– To straszne!

– Dopóki nie trafiliśmy do wuja, było nam ciężko, mnie i mojemu bratu. – Odwrócił spojrzenie. – Nie wiedzieliśmy, co to matczyna miłość.

– Wciąż nie macie z rodzicami kontaktu?

– Mamy. Mniej więcej od roku – odparł po chwili. – Nie jest to łatwe. Narosło zbyt wiele pretensji. Ale staramy się pojednać.

– Współczuję. Moja mama była przy mnie od urodzenia. Opatrywała mi rany, całowała bolące miejsca, zawsze stawiała w mojej obronie. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

John westchnął głęboko.

– Zazdroszczę ci matki – przyznał. – Nawet w chorobie jest jedną z najbardziej pozytywnie nastawionych osób, jakie znam.

– Kiedy tu przyjechałyśmy, sądziłam, że lada dzień będę musiała planować jej pogrzeb.

Pogładził Sassy po policzku.

– Skąd wiedziałeś, że jesteśmy w Billings? – spytała nagle.

– Wpadłem do sklepu. Buck mi powiedział.

– I natychmiast tu przyjechałeś. – W jej głosie pobrzmiwała nuta zdumienia.

– Nie umiem tego wytłumaczyć, ale czuję się związany z twoją rodziną.

Sassy uśmiechnęła się.

– Należysz do niej.

– Ale żeby nie było nieporozumień: nie myślę o tobie jak o siostrze. Serce zabiło jej mocniej.

– A jak o kim?

– Jak o wspaniałej młodej kobiecie.

Żałował, że są w poczekalni szpitalnej, a nie w jakimś bardziej romantycznym miejscu. Głodnym wzrokiem popatrzył na jej pełne usta, zanim jednak uległ pokusie, podszedł do nich lekarz prowadzący razem z wysokim brunetem w białym fartuchu.

– Panno Peale, przedstawiam pani doktora Bartona Crowleya. To on jutro rano zoperuje pani mamę.

Sassy uścisnęła dłoń chirurga.

– Tak się cieszę! Bałam się, że mama umrze, a zdarzył się cud! Nie wiedziałam, że istnieją tego typu dotacje na leczenie.

John posłał mężczyznom ostrzegawcze spojrzenie. Chirurg skinął nieznacznie głową; najwyraźniej dyrektor o wszystkim ich uprzedził.

– Zawsze staramy się pomagać chorym – rzekł lekarz prowadzący i wskazał na chirurga – ale mamy ogromne szczęście, że jest z nami doktor Crowley. Pan doktor pracuje w Johns Hopkins, a tu przyjechał, żeby pokazać nam nowe techniki operacyjne.

– Johns Hopkins to jeden z najlepszych szpitali na wschodnim wybrzeżu – wyjaśnił John, widząc, że nazwa nic Sassy nie mówi.

Dziewczyna roześmiała się nerwowo.

– Przepraszam. Jestem całkiem zielona.

– Panna Peale pracuje w sklepie rolnym w Hollister. – Tym razem John zwrócił się do lekarzy. – To niesamowicie dzielna dziewczyna. Jest jedynym żywicielem rodziny, opiekuje się mamą i adoptowaną siostrzyczką...

– Och, przestań. Nie robię nic niezwykłego. Po prostu kocham swoją rodzinę.

– Całą? – spytał John z figlarnym błyskiem w oku.

Przypomniała sobie, że przed chwilą jego też zaliczyła do rodziny, i oblała się rumieńcem.

– Naprawdę sądzi pan, że zdoła pomóc mamie? – zwróciła się ponownie do chirurga. – Miejscowy lekarz twierdził, że choroba jest bardzo zaawansowana.

– Na szczęście zajęty jest tylko jeden płat. Jeśli go usuniemy, a potem zastosujemy chemię i naświetlania, możemy w znacznym stopniu przedłużyć życie pani Peale. Kto wie, może nawet uda się ją całkiem wyleczyć. – Doktor Crowley uśmiechnął się. – Proszę być dobrej myśli. I proszę odpocząć. Dopiero po jutrzejszej operacji będę mógł coś więcej powiedzieć.

Obaj lekarze wymienili uścisk dłoni z Johnem i oddalili się szpitalnym korytarzem.

– Szkoda, że nie wzięłam koca – powiedziała Sassy, spoglądając na krzesła w poczekalni. – Mogę spać na siedząco, ale w nocy bywa chłodno.

– Na siedząco? – zdziwił się John.

– Nie stać mnie na hotel. Kiedy przywożę tu mamę, zawsze śpimy w poczekalni. – Skinęła głową na Selene, która drzemała w kącie. – Ona łatwiej znajduje wygodną pozycję, bo jest mała.

Słuchał jej z przerażeniem. Po raz pierwszy widział na własne oczy, jak żyje reszta świata. To znaczy ci, którzy nie mają pieniędzy.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała. – Zrozum, nie wstydzę się tego, że jesteśmy biedne. Jedni zostali obdarzeni majątkiem, ja czymś innym, skarbem o wiele bardziej cennym.

Zmarszczył czoło, jakby usiłował odgadnąć, jakie skarby Sassy posiada.

– Mam matkę, która mnie kocha, i siostrzyczkę, która patrzy na mnie z uwielbieniem. Mam dach nad głową, jedzenie na talerzu, a dzięki tobie dobrą pracę, w której nie muszę się już opędzać od niechcianych awansów.

Nawet mam pojazd, wprowadzie trochę rozklekotany, którym zwykle udaje mi się dojechać do pracy.

– Tego grata nie nazwałbym skarbem – mruknął John.

– Też wolałabym jeździć taką wypasioną furą jak ty – przyznała ze śmiechem. – Chodzi mi o to, że mam wiele rzeczy, których inni nie mają. I jestem szczęśliwa.

Zadumał się. Sassy nie ma nic, a czuje się szczęśliwa. On zaś ma wszystko, lecz jego życie jest puste. Bogactwo, które zgromadził, i władza, jaką posiada, nie dały mu szczęścia. Doskwierała mu samotność. Owszem, ma brata i rodziców, ale w głębi duszy jest bardzo samotnym człowiekiem.

– Myślisz, że nie masz rodziny? – odgadła Sassy, obserwując jego posępną minę. – Mylisz się. Masz mnie, moją mamę, Selene. My jesteśmy twoją rodziną. – Zaczerwieniła się. – Może wolałbyś inną, trochę bogatszą...

Przyciągnął ją do siebie.

– Nie mów tak. Liczy się charakter, a nie stan konta. Odprężyła się, ale serce jej waliło.

– Twoja rodzina bardzo mi odpowiada – dodał cicho i pocałował Sassy w usta, skierował się w stronę Selene.

– Co robisz? – spytała, kiedy wziął śpiącą dziewczynkę na ręce.

– Zabieram ją na noc do skromnego hoteliku. Ciebie też zapraszam.

– Mówiłam ci, że nie stać mnie...

– Oj, bo powiem coś brzydkiego – zagroził. – A chyba nie chcesz, żebym w obecności dziecka zaczął przeklinać?

Dziecko spało i na pewno niczego by nie usłyszało.

– No dobrze – zgodziła się – ale za hotel potracisz mi z pensji. Bo jak nie, to obie z Selene zostajemy tutaj, a ty możesz sobie kłać do woli.

Skromny hotelik? Sassy z przerażeniem rozejrzała się po eleganckim holu najlepszego hotelu w Billings.

Mała poruszyła się w ramionach Johna, który stał przy recepcji, załatwiając formalności.

– Mama? – spytała, ziewając.

– O nic się nie martw, aniołku. Posadzę cię tu w fotelu, a ty zamknij oczka i śpij.

– Dobrze, John. – Dziewczynka posłusznie zamknęła powieki i znów pogrążyła się we śnie.

– Sassy? Posiedzisz przy małej? – Nie chciał, by słyszała, jak będzie podawał w recepcji swoje nazwisko.

Zostawił je obie, a sam podszedł do lady.

– Ich matka jest w szpitalu – poinformował recepcjonistę. – Jutro czeka ją ciężka operacja. Zamierzały spędzić noc w szpitalnej poczekalni. Chciałbym wynająć dla nich pokój, chętnie blisko mojego.

Mężczyzna za ladą skinął uprzejmie głową.

– Oczywiście, panie Callister. Sąsiedni pokój jest wolny.

– Doskonale.

Mężczyzna wziął od Johna kartę kredytową, następnie zaprogramował kartę otwierającą drzwi. Wszystko odbyło się sprawnie i bardzo kulturalnie.

– Mam nadzieję, że ich mama wyzdrowieje.

– Jest w świetnych rękach.

Wróciwszy do Selene, ponownie wziął małą na ręce, po czym skinął na Sassy, która podziwiała szklany stolik ustawiony między fotelami. W drodze do windy przystanęła koło kamiennego filaru.

– To chyba prawdziwy marmur – szepnęła. Po chwili rzuciła się biegiem do windy, żeby zdążyć, zanim drzwi się zasuną. – John, ten hotel wygląda na drogi...

– Powiem Buckowi, żeby rozłożył ci spłatę na kilka miesięcy, dobrze? Skrzywiła się. Naprawdę nie stać jej na takie wydatki. Ale nie chciała wyjść na niewdzięcznicę.

– Oczywiście.

Ruszył korytarzem do przydzielonego im pokoju. Przed drzwiami podał Sassy kartę. Popatrzyła na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Po co mi karta kredytowa?

– Tym otwierasz drzwi – wyjaśnił, zdumiony jej niewiedzą.

– Nabierasz mnie, prawda? – Uniosła brwi.

Roześmiał się. Nowoczesna technika najwyraźniej ją przerasta.

– Oddaj. – Podtrzymując ostrożnie Selene, wsunął kartę w otwór. Kiedy zapaliło się zielone światelko, nacisnął klamkę. – Widzisz? Wcale cię nie nabierałem.

Sassy weszła za nim do pokoju i aż zapało jej dech w piersiach. Na wprost siebie ujrzała ogromne małżeńskie łóżce. Nie, dwa. W kącie stał okrągły stolik z dwoma fotelami. Na ścianach wisiały obrazy. Był też telefon oraz wielki telewizor. A z przysłoniętego firaną okna rozciągał się wspaniały widok na miasto.

– Czuję się jak w pałacu – szepnęła oczarowana. Zajrzawszy do łazienki, krzyknęła z zachwytu. – Ojej, suszarka!

John położył Selene na jednym z łóżek. Uświadomił sobie, że dla Sassy ten hotel – owszem, porządny, ale wcale nie pięciogwiazdkowy – to szczyt luksusu.

Podszedł do drzwi łazienki. Wsparty o framugę, patrzył, jak Sassy podnosi i odstawia mydełka i buteleczki.

– O rany...

Pogładziła puszysty biały ręcznik. Był tak miękki, że miała ochotę się nim owinać. W domu miała cienkie, szorstkie, sprane.

– Przepraszam. – Zerknęła nieśmiało na Johna. – Nie jestem przyzwyczajona do takiego przepychu.

– To tylko hotel, Sassy. Jeśli się nigdy nie nocowało poza domem, w pierwszej chwili człowiek może czuć się lekko oszołomiony.

– Skąd wiesz? – Co?

– Że nigdy nie nocowałam w hotelu? Wzruszył ramionami.

– Domyśliłem się.

– Bo to widać? Zachowuję się jak idiotka?

– Niczego takiego nie powiedziałem. – Wszedł do łazienki, objął Sassy w pasie i pocałował.

– Dokonałeś tylu cudów... – szepnęła, gdy ją puścił.

Miała na myśli swój awans, wyrzucenie z pracy Tarletona, operację matki.

Popatrzył głęboko w jej lśniące zielone oczy.

– Ty również – rzekł, wcale nie żartując.

– Ja? A co ja takiego zrobiłam?

– Uzmysłowiłaś mi, że należy cieszyć się życiem. Doceniać to, co się ma. Ty to potrafisz. Zarażasz optymizmem. Przy tobie czuję się... taki ubogi.

– A to dobre! – Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Masz niewiele, ale wydajesz się szczęśliwa. Ja natomiast... –

Wzruszył ramionami. – Na pewno mam dużo więcej rzeczy materialnych, ale jestem... – przez moment szukał właściwego określenia – pusty.

– Co ty mówisz! – oburzyła się. – Nie jesteś pusty. Jesteś dobry i szlachetny. Ciągłe pomagasz innym, o sobie w ogóle nie myślisz.

Przeniknął go dreszcz. Dotychczas kobiety lgnęły do niego z powodu jego bogactwa i władzy. Sassy zaś pragnie go dlatego, że jest dobry.

Zdumiewające...

– Dziwną masz minę – stwierdziła.

– Bo rozmyślałem.

– Nad czym?

– Że robi się późno i powinnaś się wyspać. Jutro pobudka z samego rana.

Na chwilę udało jej się zapomnieć o kłopotach. Teraz wyraz bez troski znikł z jej twarzy; zastąpił go strach i niepewność. John ponownie zgarnął ją w ramiona.

– Ten Crowley – rzekł spokojnym tonem – to jeden z najlepszych chirurgów onkologów w kraju, w dodatku cieszy się światową renomą. Twoja mama lepiej nie mogła trafić. No, głowa do góry.

– Staram się, ale już tyle razy wzywałam do mamy karetkę...

John westchnął. Nie miał tak ciężkich doświadczeń w życiu. Chociaż nie, kilka lat temu żona Gila zginęła w wypadku jeździeckim. Ale od tamtej pory nikt w rodzinie nawet nie chorował.

– Będę tam jutro z tobą – obiecał. – Do samego końca. Przyjrzała mu się uważnie.

– Naprawdę? Nie dostaniesz od szefa bury?

– Nie. A nawet gdyby, niczego by to nie zmieniło. Nie opuszczę cię.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Bądź co bądź należę do rodziny – rzekł i schyliwszy się, leciutko musnął jej wargi. Najwyższym wysiłkiem woli cofnął się krok. – Kładź się spać.

– Dobrze. Dziękuję, John. Za wszystko.

Nie odpowiedział, tylko mrugnął i skierował się do drzwi.

Operacja trwała kilka godzin. Sassy obgryzła paznokcie do krwi. Selene siedziała obok, trzymając ją za rękę.

– Nie chcę, żeby mamusia umarła. Sassy przytuliła dziewczynkę.

– Nie umrze. Wyzdrowieje. Zobaczysz – obiecała, modląc się w duchu, aby to była prawda.

John, który poszedł zasięgnąć informacji, wrócił z uśmiechem do poczekalni.

– Wycięli całą chorą tkankę. Tak jak podejrzewał Crowley, zajęty był tylko jeden płat. Rokowania są bardzo dobre.

– Słyszysz? Mama wyzdrowieje!

Sassy uścisnęła siostrę, po czym wstała i przytuliła się do Johna.

– Dziękuję – szepnęła. – Słuchaj, a co teraz?

– Teraz? Kiedy lekarz pozwoli, zabierzemy mamę do domu, a potem będziemy ją przywozić na chemię. Terapia potrwa kilka tygodni, ale nie powinna być zbyt uciążliwa.

– Będziesz z nami przyjeżdżał? – zdumiała się Sassy.

– Oczywiście – odparł urażony. – Sama powiedziałaś, że należę do rodziny.

Odetchnęła głęboko.

– Jesteś najsympatyczniejszym facetem, jakiego znam. Poruszył zabawnie brwiami.

– Nawet sympatyczniejszym od wojaka?

– Tak, nawet od niego.

– O wilku mowa – mruknął nad jej głową.

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna w wojskowym mundurze szedł korytarzem w ich kierunku.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sassy obejrzała się. Na końcu korytarza ujrzała Caleba w mundurze, w solidnych skórzanych butach i berecie. Wyglądał na niesamowicie przystojnego.

– Caleb! Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

– Moja kuzynka pracuje w szpitalu. Zapamiętała, że jeździłem do ciebie do Hollister i że się nazywasz Peale. Jak się miewa twoja mama?

– Już jest po operacji. Rokowania są dobre. John dowiedział się o specjalnej fundacji, która przydziela biednym pieniądze na leczenie. Nawet nie przypuszczałam, że coś takiego istnieje!

Caleb popatrzył z uśmiechem na Johna. Domyślił się prawdy: że wszystko zaaranżował i nie chce, by Sassy to odkryła.

– Tak, te fundacje to fantastyczna rzecz – powiedział. John odprężył się. Porządny facet z tego wojaka. Sassy

twierdziła, że łączy ich przyjaźń, ale młodzieńcowi musi na niej zależeć, skoro przyjechał do szpitala.

– Miło, że wpadłeś, Caleb.

– Żałuję, że nie mogę dłużej zostać. Jestem w drodze na lotnisko.

Służba nie drużba.

– Życzę bezpiecznego lotu. I szybkiego powrotu do kraju.

– Nie zapomnij przysłać mi zdjęcia.

– Nie zapomnę. Do zobaczenia.

– Trzymaj się, Sassy. – Pocałował ją w policzek, skinął na pożegnanie Johnowi, po czym ruszył korytarzem do wyjścia.

– Jakiego zdjęcia? – spytał John. Ucieszyła ją nuta zazdrości w jego głosie.

– Mojego. Żeby zmylić jego przyjaciela.

John pokręcił głową. Już miał zamiar coś powiedzieć, kiedy do poczekalni wszedł chirurg. Wymieniwszy uścisk dłoni z Johnem, uśmiechnął się do Sassy.

– Operacja się udała. Teraz przeniesiemy mamę na oddział intensywnej opieki. Spędzi tam ze dwa dni. Nie, nie, proszę się nie niepokoić – dodał szybko, widząc, że Sassy zbladła. – To normalna procedura. Musi być pod obserwacją, dopóki jej stan się nie ustabilizuje.

– Możemy ją odwiedzić? Ja, Selene i John? Lekarz zawahał się.

– Czy kiedykolwiek widziała pani kogoś świeżo po operacji? – spytał łagodnie.

– Dziadka Jacka, ale tylko przez szparę w drzwiach... Bo co?

– Pacjenci po operacji bywają potwornie bladzi, w dodatku są podłączeni do różnych rurek i urządzeń. Dla kogoś nieprzyzwyczajonego widok jest dość przerażający.

– Dzięki panu mama nie umrze. – Sassy uśmiechnęła się. – Odzyska rumieńce. A maszyny pomagają jej oddychać. Nie boję się tego widoku. Jej optymizm był zaraźliwy.

– W porządku – zgodził się lekarz. – Może pani do niej wejść na pięć minut, nie dłużej. Ale dopiero, gdy ją przewieziemy na oddział. Niestety, chwilę to potrwa...

– Będę cierpliwie czekać.

– Doskonale. Pielęgniarka panią zawoła.

– Dziękuję, doktorze. Nawet pan nie wie, jaka jestem panu wdzięczna.

– Zawód lekarza to chyba najbardziej satysfakcjonujący zawód na świecie.

– Wierzę, choć sama nigdy nikomu nie uratowałam życia.

– A ja tak – rzekł John po odejściu Crowleya.

– Naprawdę? Jak? Kiedy?

– Rzuciłem w kolegę kijem baseballowym i spudłowałem.

– Och, ty! – Obejmując Johna w pasie, przytknęła policzek do jego piersi. – Jesteś wspaniały.

Pogładził ją po włosach. Ponad głową Sassy widział Selene, która uśmiechała się równie błogo jak jej starsza siostra. Pomimo niepewności związanej z operacją był to jeden z najszcześniejszych dni w życiu Johna. Jeszcze nigdy nie czuł się komuś tak potrzebny.

Pielęgniarka wpuściła ich na oddział intensywnej opieki, zaznaczając, że wizyta może potrwać tylko chwilę. Mimo zapewnień, że nie wystraszy się wyglądem mamy, Sassy ścisnęła Johna za rękę, jakby się bała, że może zemdleć.

Patrzyła w milczeniu na leżącą bez ruchu postać, z której sterczały dziesiątki rurek. Matka jeszcze nie odzyskała przytomności. Oddychała podłączona do respiratora. Dookoła brzęczały różne urządzenia.

– Nie denerwuj się – szepnął John. – Ona żyje. Wkrótce, całkiem odmieniona, wróci do domu. Myśl o przyszłości.

Sassy podniosła na niego lśniące od łez oczy.

– Tak bardzo ją kocham...

– A ona ciebie. Zobaczysz, niedługo wyzdrowieje.

– Wiem. – Osuszyła policzki, po czym zbliżywszy się do łóżka, pochyliła się nad matką.

Przypomniała sobie, jak kiedyś w dzieciństwie złapała jakiegoś wirusa. Leżała odwodniona. Mama siedziała przy niej non stop; karmiła ją kruszonym lodem, przykładając jej do czoła zimne kompresy, powtarzała, że

ją kocha i że wkrótce wszystko będzie dobrze. Opieka ta sprawiła, że Sassy przestała się bać i pokonała chorobę.

– Będzie dobrze, mamusiu – szepnęła, całując zimne blade czoło. –

Tylko patrzeć, jak wrócimy do domu.

Pani Peale nie odezwała się, ale poruszyła palcami.

– Widziałaś? – John ścisnął rękę Sassy. – Usłyszała cię.

Trzy dni później pani Peale siedziała wsparta o poduszki, jedząc galaretkę. Wciąż była słaba, nadal czuła ból, lecz się uśmiechała.

– A nie mówiłem? – John zerknął na Sassy. – Twoja mama nie pozwoli, aby tak drobna rzecz jak operacja ją przygnębiła.

– Jesteś dla nas taki dobry, John. – Pani Peale miała głos lekko ochryply w wyniku podrażnienia gardła. – Sassy mówiła mi, w jakim pałacu umieściłeś ją i Selene.

– E tam, to zwykły hotel. – Oczy lśniły mu wesoło. – A jeśli chodzi o moją dobroć, to przecież należę do rodziny. To jej słowa. – Wskazał brodą za siebie.

Pani Peale zmarszczyła czoło.

– Ale mam nadzieję, że nie darzysz jej braterską miłością?

– Co to, to nie! – zaprzeczył ze śmiechem. Sassy zrobiła się czerwona jak burak.

W ciągu kilku następnych tygodni John woził panią Peale na zabiegi i wizyty do szpitala w Billings oraz starał się dopilnować prac na ranchu. Budynki gospodarcze już stały, zwierzęta miały gdzie mieszkać. Pastwiska były ogrodzone, w niektórych miejscach umieszczono elektrycznego pastucha. Pola obsiano specjalną trawą. Sąsiad farmer na prośbę Johna zasiał mu zboże. Pod koniec lata powinien być gotowy nowy silos. Wiele udało się

dokonać, ale wciąż było dużo do zrobienia. John rozdzielił obowiązki, sam jednak musiał podejmować większość decyzji.

Ruszył też proces Billa Tarletona. Zarówno prokurator, jak i obrońca z urzędu przepytawali Sassy o zajście na tyłach sklepu. Pytania te wprawiły ją w zakłopotanie. Obrońca oskarżonego zdawał się sugerować, że zachęcała Tarletona do coraz śmielszych poczynań. Powiedziała o tym Johnowi, kiedy w piątek po kolacji wpadł sprawdzić, jak się miewa rekonwalescentka. Z powodu nawału pracy przez cały tydzień nie zaglądał do sklepu.

– On robi ze mnie tanią dziwkę. Ucierpią na tym mama i Selene.

– Nikt nie ucierpi, jak zeznasz prawdę – oznajmiła pani Peale.

Siedziała z robótką ręczną na kolanach. Na głowie miała wełnianą czapkę. W wyniku radioterapii straciła włosy, ale nie narzekała. Produkowała czapki w różnych kolorach i fasonach.

– Twoja mama ma rację – powiedział John. – To nie może ujść mu płazem. Nie jesteś niczemu winna.

– Obrońca mówił tak, jakbym była winna. Na szczęście zastępca prokuratora spytał, jakie ubranie zwykle nosiłam w pracy. Dżinsy i T-shirty, odparłam, wszystko luźne. On uśmiechnął się i stwierdził, że nawet gdybym paradowała w bikini, to Tarleton nie miał prawa mi się narzucać.

– Podoba mi się ten zastępca prokuratora. To piekielnie inteligentny facet. Zajdzie daleko, zobaczysz. Podobno od kilku lat nie przegrał ani jednej sprawy.

Sassy potarła ramiona, jakby na samą myśl o procesie zrobiło się jej zimno.

– Nie wiem, jak sobie poradzę, opowiadając o wszystkim ławie przysięgłych...

– Będą w niej zasiadać ludzie, którzy znają cię od dziecka.

– Niekoniecznie. Obrona wystąpiła o przeniesienie rozprawy do Billings. Bo tu Tarleton nie miałby bezstronnego procesu.

John skrzywił się. Z drugiej strony wierzył, że sprawiedliwość zatriumfuje. Sassy złoży zeznania. On też. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby w porę się nie zjawił, Tarleton zostałby oskarżony nie o molestowanie, nie o próbę gwałtu, lecz o gwałt.

– To podły człowiek – mruknęła pani Peale. – Sassy codziennie wracała z pracy przybita.

– Powinnaś była poskarżyć się McGuire'owi – rzekł John.

– Nie miałam odwagi. Słabo mnie znał. Mógłby pomyśleć, że nadaje na Tarletona, bo chcę zostać kierownikiem sklepu.

– To się czasem zdarza – przyznał John. – Podchody, rywalizacja... Ale ty taka nie jesteś. McGuire mógłby zasięgnąć języka i wiedziałby, że nie zmyślasz.

– Trudno. – Sassy westchnęła. – Wiem, że słusznie postępuję, Tarleton powinien zostać ukarany. Ale co będzie, jeśli ława go uniewinni, a on postanowi się zemścić na mnie, mamie albo na Selene?

– Gorzko tego pożałuje. Oczywiście nie dojdzie do takiej sytuacji, ale gdyby doszło, wtedy wystąpisz z powództwem cywilnym, a ja pokryję koszty.

– Wiedziałałam, że fajny z ciebie gość – oznajmiła pani Peale.

Sassy zrobiło się ciepło na sercu.

– Dlaczego życie jest tak skomplikowane? – spytała po dłuższej chwili.

– Nie wiem, kochanie. – John wstał z fotela nieświadom, że to jego słowa sprowadziły kolejny rumieniec na twarz Sassy. – Ale tak już jest. –

Spojrzał na zegarek. – Muszę wracać, czekam na ważny telefon. Ale wpadnę jutro. Może wybierzemy się do kina?

Sassy zerknęła niepewnie na mamę.

– Chętnie, ale...

– Przecież mam komórkę – przerwała jej matka. – I będzie ze mną Selene.

– Przy wojaku nie marudziłaś.

Pani Peale uśmiechnęła się szeroko. Był zazdrosny. Sassy chyba też to sobie uświadomiła, bo oczy jej rozbłysły.

– Nie marudzę. I z przyjemnością z tobą pójdę.

– No dobra. – Odprężył się. – W tej nowo otwartej knajpce chińskiej podobno smacznie karmią. Może kupię coś na wynos i przed filmem zjemy razem kolację?

Sassy zawahała się, jej matka również. Tak wiele już dla nich zrobił...

– Rany boskie! – Roześmiał się. – To zwykła chińszczyzna, a nie klejnoty. Stać mnie. Nieźle zarabiam, nie piję, nie palę, nie grywam w ruletkę, nie szastam forszą.

– W porządku – uległa Sassy. – Ale kiedy w końcu zostanę sławna i bogata, za wszystko ci zwrócę.

– Zgoda.

Przyniósł ze sobą ogromny wybór chińskich dań. Po kolacji jeszcze mnóstwo zostało; Sassy wszystko starannie przykryła i schowała do lodówki, wiedząc, że jedzenia wystarczy im na kilka dni. Oczywiście i ona, i matka zdawały sobie sprawę z tego, co John zrobił, ale powstrzymały się z krytyką. Chciał pomóc. Nie wypada go krytykować.

Na zewnątrz wciąż było widno. Kiedy wsiedli do dżipa, słońce opadało za górami, tworząc na niebie barwną czerwono– pomarańczową abstrakcję.

– Boże, jak pięknie – szepnęła Sassy, podziwiając zachód słońca. – Nie chciałabym mieszkać gdzie indziej.

Zerknął na nią spod oka. Czasem tęsknił za domem w Medicine Ridge, ale w Hollister też mu się podobało. Była to mała miejscina położona z dala od wielkomięjskiego zgiełku i zamieszкана przez życzliwych ludzi. Można było jechać wiele kilometrów i nie spotkać na drodze innego samochodu.

– Jedziemy do kina w miasteczku?

– Nie. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Do nowego kina dla zmotoryzowanych. Otwarto je niecały miesiąc temu. Rozmawiałem z właścicielem; powiedział, że zamarzyło mu się kino pod gołym niebem, do jakich chadzał w dzieciństwie. Nie wiem, czy mu się opłaci ten interes, ale uznałem, że warto go wesprzeć.

– Czytałam o takich miejscach.

– Ja też. Poza tym wuj mi o nich opowiadał.

– Gdzie się to kino znajduje? Na jakimś placyku?

– Na środku pola. Obok pasie się bydło. Sassy roześmiała się z zachwytem.

– Szyby masz opuszczone, oglądasz film, a tu nagle krowa wsuwa łeb do środka!

– Może tak być.

– Wcale by mi to nie przeszkadzało. Lubię krówki.

– Właściciel hoduje woły opasowe.

– To znaczy?

– Kastrowane, przeznaczone na tucz.

– Znasz się na hodowli bydła, prawda?

– Owszem. Kocham te zwierzaki. Ale na ranczu będziemy też mieć konie. Kiedy tylko zechcesz, możesz wpadać na przejażdżkę. Razem z Selenę.

– Musiałbyś ją nauczyć jazdy. A przy okazji i mnie dać kilka lekcji. Nawet nie pamiętam, kiedy siedziałam na koniu, to było tak dawno temu...

Kino znajdowało się na zaoranym polu, mniej więcej pół kilometra od głównej szosy. Na poboczu stała duża tablica informująca o wyświetlanym filmie; tym razem był to film z gatunku science fiction o promie kosmicznym i jego dzielnej załodze. Wyboistą drogą ciągnącą się między rzędami drzew dotarli na „widownię”. Mogło się na niej pomieścić dwadzieścia samochodów. Sześć już stało. Każde miejsce parkingowe oznaczone było słupem, na którym tkwiły głośniki. Kasę obsługiwał nastolatek, pewnie syn właściciela, bo bardzo do niego podobny.

John podjechał na wolne miejsce, zgasił silnik i rozejrzył się wokoło.

– Brakuje tylko stoiska z pizzą i colą oraz toalety – oznajmił z rozbawieniem. – Ale może właściciel je dobuduje, jeśli interes zacznie przynosić zysk.

– Oj nie! To znaczy, niech kino przynosi zysk, ale niech facet niczego nie dobuduje. Tak jest fajnie.

– To prawda.

Do opuszczonej w dziupie szyby przysunął głośnik, a gdy na ekranie pojawiły się zapowiedzi kolejnych filmów, nastawił dźwięk.

– Super! – Sassy roześmiała się wesoło.

John cisnął kapelusz na tylne siedzenie, odpiął pas, rozprostował nogi. Po chwili odpiął również pas Sassy i przyciągnął ją do siebie. Objął ją ramieniem, po czym wtulił policzek w jej lśniące włosy.

– Tak może być? – spytał.

– Mmm.

Pierwsza część filmu była przezabawna; co rusz wybuchali śmiechem. Dalszej nie obejrżeli. W pewnym momencie John popatrzył na ożywioną twarz dziewczyny rozjaśnioną światłem padającym z ekranu i nagle zalała go fala pożądania. Znowu pragnął poczuć pod wargami jej miękkie usta. Odkąd ją poznał, nie interesowały go żadne inne kobiety. Liczyła się tylko ona. Pociągnął ją lekko za kosmyk włosów.

– To ci wystarcza, Sassy? – spytał, kiedy utkwiała w nim wzrok. – Małe miasteczko, praca w sklepie? Nie marzą ci się studia, życie w dużym mieście, szansa poznania różnych ludzi?

– Dlaczego miałabym o tym marzyć, skoro dobrze mi w Hollister?

– Jesteś bardzo młoda. Nie widziałaś świata.

– Pan Barber, który prowadzi u nas salon Forda, urodził się w Hollister i całe życie spędził w Montanie. Jako osiemnastolatek poślubił szesnastoletnią panną Jane, mają pięciu synów.

Zmrużył oczy.

– Co mi usiłujesz powiedzieć?

– Że tacy jesteśmy – odparła. – Normalni prości ludzie. Żyjemy skromnie, nie mamy wygórowanych ambicji.. Kochamy się, zakładamy rodziny, rodzą się nam dzieci. Potem starzejemy się, patrzymy, jak dorastają nasze wnuki i w końcu umieramy, trafiamy na tutejszy cmentarz. Otaczają nas piękne krajobrazy, możemy spacerować po lesie, jeździć konno, biegać po trawie. Mamy czyste strumienie i czyste powietrze. Po zmroku lubimy siadywać na ganku, słuchać cykania świerszczy, oglądać świetliki. Gdy ktoś zachoruje, sąsiedzi pomagają. Gdy ktoś umrze, starają się pocieszyć jego rodzinę. Człowiek w potrzebie nie jest pozostawiony sam sobie, może liczyć

na innych. Tu w Hollister mamy wszystko, czego nam potrzeba. – Odchyliła głowę. – Cóż wspanialszego może ofiarować miasto?

Zamyślił się. Kochał Medicine Ridge, ale studiował na wschodnim wybrzeżu i podróżował po całym świecie. Miał wybór. Mógł zdecydować, czy woli miasto czy wieś. Sassy była pozbawiona tej możliwości. Ale podając powody, dla których kocha życie na prowincji, mówiła z przekonaniem w głosie. Mimo młodego wieku mówiła dojrzałe. Uświadomił sobie, że wielu jego znajomych, ludzi sporo od niej starszych, wciąż nie wie, czego chce od życia.

– O czym myślisz?

– Że w tak młodym ciele żyje tak stary duch.

Roześmiała się.

– Mama ciągle mi to powtarza.

– Słusznie. Bo masz wrodzoną mądrość... No dobrze, twierdzisz, że tu jesteś szczęśliwa. A gdybyś nagle dostała stypendium i mogła pójść na dowolne studia?

– No co ty? A kto by się zajął mamą i Selene?

– W dzisiejszych czasach większość kobiet woli robić karierę, niż siedzieć w domu i opiekować się rodziną.

Sassy westchnęła.

– Wiem. Któregoś wieczoru oglądałam w telewizji wywiad z kobietą, która w ciągu roku mieszkała w trzech różnych miastach. Szukała pracy, która dałaby jej zadowolenie. Była rozwiedziona, miała ośmioletniego syna. Zastanawiałam się, co on czuje, trzykrotnie w ciągu roku zmieniając szkoły?

– Dzieciaki szybko się przyzwyczajają...

– Tak. Przyzwyczajają się do życia z jednym rodzicem, bo drugie odeszło. Przyzwyczajają się do nowych partnerów swoich mam i ojców.

Przyzwyczajają się do tego, że rodzice pracują do późna i nie mają kiedy się z nimi pobawić ani nawet porozmawiać. Po szkole dzieci chodzą na różne dodatkowe zajęcia, sportowe, teatralne, muzyczne. Rodzice starają się maksymalnie zapłacić im czas. Wszyscy są tacy zajęci i zapracowani. Czytałam, że dzieci wysyłają rodzicom esemesy, kiedy chcą się z nimi spotkać. A potem ludzie się dziwią, dlaczego dzieciaki mają nie po kolei w głowie.

– Mnie to na szczęście ominęło – powiedział John. – Mieszkaliśmy z bratem u wuja na ranczu. Owszem, grywaliśmy w piłkę, ale mieliśmy też obowiązki. Większość czasu spędzaliśmy w domu, nie szaleliśmy, nawet nie mieliśmy komórek. Zawsze siadaliśmy razem do posiłków, wieczorem graliśmy w gry planszowe albo oglądaliśmy gwiazdy przez teleskop. Wuj nie był wielkim miłośnikiem zajęć pozalekcyjnych. Do naszej szkoły chodziło kilkoro dzieciaków z miasta. Wuj twierdził, że są na bakier z moralnością, że wywierają zły wpływ na resztę dzieci. Sassy pokiwała z uśmiechem głową.

– Moja mama mówiła to samo. Próbowwała mnie chronić. Wprawdzie dziś już mam komórkę, ale esemesów nadal nie potrafię pisać.

– Nauczę cię. Sporo esemesuję.

– Pewnie twoja komórka ma setki skomplikowanych funkcji.

– Mogę się łączyć z internetem, sprawdzać pocztę, słuchać muzyki, oglądać filmy.

– O rany! A ja z mojej mogę tylko dzwonić.

Nie spuszczał z niej oczu. Była taka świeża, niewinna. Innej Sassy sobie nie wyobrażał. O innej nie marzył. Przesunął wzrok na jej wargi i wolno schylił głowę.

– Cały czas pamiętam smak i dotyk twoich ust – szepnął. – Pragnę znów je poczuć...

Złakniony bliskości, wciągnął Sassy na kolana. Wodził dłońmi po jej ciele, rozpinął guziki bluzki, potem wsunął rękę w miseczkę stanika. Sassy wstrzymała oddech. Była zbyt podniecona, żeby zaprotestować.

Zamruczała cicho. Marzyła o tym, aby zdarł z niej bluzkę, stanik, by pieścił jej piersi. Słyszała bicie własnego serca, czuła, jak pożądanie rozpiera jej ciało. Płonęła. Jeszcze nigdy nie pragnęła żadnego mężczyzny. A tego pragnęła z całej siły. Do szaleństwa.

Oderwał usta od jej ust, uniósł głowę i się rozejrzał. Obraz na ekranie był ciemny, inne samochody stały dalej. Niewiele się namyślając, zsunął Sassy bluzkę z ramion, podciągnął jej stanik pod brodę. Na widok jędrnych piersi zadrzał z podniecenia. Wygięła plecy w łuk, zachęcając go do działania. Gładził językiem jej aksamitną skórę, kiedy z gardła Sassy wydobył się ochrypły jęk rozkoszy. Podniecony, wsunął rękę w jej dzinsy. Zapomniał o bożym świecie, liczyła się tylko ona i on. Raptem coś śliskiego i mokrego przesunęło się po jego pochylonej głowie. Dłuższą chwilę trwało, zanim uświadomił sobie, że to nie może być język Sassy. Powoli uniósł głowę. W otwartym oknie, od strony pasażera, zobaczył ogromny bydlęcy łeb.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Sassy...

– Hm? – Otworzyła oczy.

– Zerknij za siebie. Obróciła się posłusznie.

– O Boże! – przeraziła się.

Śmiejąc się, poprawił jej stanik, bluzkę, po czym przyłożył rękę do swojej głowy.

– Nic dziwnego, że mam takie mokre włosy.

Lekko speszona, ale i ubawiona całą sytuacją, Sassy zapięła stanik. Krowa cofnęła się od szyby, ale wciąż spoglądała na nich z zaciekawieniem. Po chwili rozległo się głośne „muuu!”. Z sąsiedniego samochodu dobiegł przytłumiony chichot.

– Kurczę, myślałem, że to dobre miejsce na pieszczoty. – Wzdychając, John poprawił koszulę. – Z drugiej strony może to lepiej, że je nam przerwano? Sprawy nabierały zbyt ostrego tempa – dodał.

W przeciwieństwie do Sassy, która z żadnym mężczyzną nie posunęła się tak daleko, nie sprawiał wrażenia zawstydzonego. Ona jednak czuła się niezręcznie. Dlatego, że go nie powstrzymała, kiedy rozpiął jej stanik. I dlatego, że wciąż pamiętała, gdzie trzymał rękę, zanim pojawiła się krowa.

– Och, nie – szepnął John, czytając w jej myślach. – Nie wstydz się.

– Pewnie... pewnie ciągle to robisz...

– Co? Całuję kobiety? Odkąd poznałem ciebie, na żadną nawet nie spojrzałem.

Zmrużyła oczy.

– Naprawdę?

– Chociaż znamy się krótko, wiele razem przeszliśmy. – Uścisnął jej dłoń. – Tarleton i jego próba gwałtu, operacja twojej mamy, kolejne wyprawy do szpitala... Powiedziałaś, że należę do waszej rodziny. I tak się czuję. Dobrze mi z tobą, z wami. – Popatrzył na ich złączone dłonie. – Sassy, chciałbym, żebyśmy zawsze byli razem, ty i ja. Żebyś była częścią mego życia. – Wziął głęboki oddech. – Boże, jak ja cię pragnę.

Wystraszyła się. Nie rozumiała, że nigdy tego nie mówił żadnej kobiecie. Tego, że chce z nią być. Nawet w chwili największego uniesienia, nawet podczas orgazmu, kiedy mężczyźni mówią różne nieprawdziwe rzeczy.

– Chcesz się ze mną przespać – stwierdziła bez ogródek. Pogładził jej palce.

– Chcę wszystko z tobą robić... – Na moment umilkł. – Wprawdzie jesteś młoda, ale mój brat ożenił się z kobietą dziesięć lat od siebie młodszą i są szczęśliwi. Czyli to się może udać. Wiele zależy od kobiety, a oboje doszliśmy do wniosku, że jak na swój wiek jesteś bardzo dojrzała.

– A ty, wbrew temu, co sugerujesz, wcale nie jesteś staruszką – rzekła, wciąż nie kojarząc, o co mu tak naprawdę chodzi. – Jesteś atrakcyjnym mężczyzną w sile wieku. Masz nawet powodzenie u kopytnych – oznajmiła z miną niewiniątka.

Ściągnął groźnie brwi.

– No co? – Wybuchnęła śmiechem. – To ciebie ten wólek lizał, nie mnie.

John ponownie przytknął rękę do włosów.

– Diabli wiedzą, co wcześniej lizał.

– Przynajmniej ma dobry gust.

– To komplement? Dziękuję. – Ze schowka na mapy wyjął czystą czerwoną szmatkę i nie spuszczał oczu z Sassy, przetarł głowę. – Nie rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

– Nie bardzo – przyznała.

– Pewnie mówię tak mętnie, bo nigdy żadnej kobiety o to nie prosiłem.

– Żeby z tobą zamieszkała, tak?

– Żeby wyszła za mnie za mąż.

Zamrugła oczami. Miała ochotę się uszczyptać, sprawdzić, czy nie śni. Ale chyba nie śniła. John wpatrywał się w nią uważnie. Czekał.

Wypuściła z płuc powietrze, otworzyła usta i je zamknęła.

– Jeśli coś ci się we mnie nie podoba, spróbuję się zmienić – rzekł, zadowolony, że przynajmniej nie dała mu kosza.

– Chodzi o to, że... po prostu mam duży bagaż – wydukała.

Przypomniał sobie, co mu kiedyś mówiła: jak to mężczyźni nie chcieli się z nią umawiać, bo miała zbyt wiele obowiązków w domu.

Wyszczrzył w uśmiechu zęby.

– Uwielbiam twój bagaż. Twoja mama i przybrana siostra są mi bardzo bliskie. – Wzruszył ramionami. – Zawsze marzyłem o większej rodzinie.

Sassy odetchnęła z ulgą. A więc John się nie boi, nie chowa głowy w piasek. Uradowana, objęła go mocno za szyję i przywarła ustami do jego ust.

– Nadal będę pracowała – oznajmiła, po dłuższym czasie przerywając pocałunek. W jej oczach migotały iskierki. – Nie będziesz musiał sam jeden utrzymywać tak licznej rodziny. To by było niesprawiedliwe. – Nie zauważyła wyrzutów sumienia malujących się na jego twarzy. – Będzie wspaniale, zobaczysz! Nie boję się ciężkiej pracy, wyrzeczeń. Często problemy bardziej ludzi jednoczą niż radości.

– Sassy, musimy o czymś porozmawiać...

– Tak, o wielu rzeczach musimy porozmawiać. – Uśmiechając się błogo, oparła policzek o jego twarde tors. – Nawet nie marzyłam o tym, że zechcesz mnie poślubić. Ale obiecuję ci, że będę najlepszą żoną na świecie. Będę gotowała, sprzątała, pomagała ci na ranchu. Lubię zwierzęta, konie, krowy...

Dlaczego ją okłamał? Wtedy nie myślał o konsekwencjach. Od początku powinien być z nią szczery. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że gdyby wiedziała, kim jest, trzymałaby się na dystans. Młoda dziewczyna, która polubiła skromnego zarządcę, byłaby onieśmielona bogatym hodowcą bydła, który mógłby wejść do dowolnego sklepu i nie patrząc na cenę, kupić wszystko, na co miałby ochotę. Zrobiło mu się niedobrze. Sassy poczuje się oszukana. Lub – nie daj Boże – pomyśli sobie, że igra z jej uczuciami.

– Ale rozmowa może poczekać – szepnął, całując ją w czoło. – Mamy na to mnóstwo czasu... – Obrócił jej twarz ku sobie. – Dziś będziemy świętować nasze zaręczyny.

Kiedy w końcu odwiózł ją do domu, Sassy uznała, że jeszcze nigdy nie czuła się tak szczęśliwa.

Pocieszał się, że zdąży wyznać Sassy prawdę. Nie wiedział, że obrońca Tarletona zwrócił się do sędziego w Billings o wycofanie wszystkich zarzutów wobec jego klienta. Swój wniosek uzasadnił tym, że główny świadek oskarżenia jest zaangażowany uczuciowo z rzekomą ofiarą pana Tarletona, ponadto nie jest on żadnym kowbojem, tylko bogatym hodowcą z Medicine Ridge. Zdaniem obrońcy, te fakty rzucały nowe światło na całe zdarzenie: wina oskarżonego miałyby polegać na tym, że zalecał się do osoby, którą hodowca darzy sympatią.

Prokurator argumentował, że stan finansowy świadka nie ma nic do rzeczy: Tarleton oskarżony jest o molestowanie seksualne i próbę gwałtu. Miejscowy lekarz może poświadczyć, w jakim stanie znajdowała się pokrzywdzona. obrońca na to, że widział raport sporządzony przez lekarza; jest w nim mowa o sińcach i czerwonych pręgach na ramionach, nie ma zaś słowa o jakichkolwiek innych obrażeniach.

Sędzia obiecał sprawę rozważyć i wydać decyzję w ciągu tygodnia. Tymczasem w poniedziałek wieczorem do domu Peale'ów przyjechał James Addy, zastępca prokuratora, żeby omówić sprawę z Sassy.

– Tarleton twierdzi, że panem Callisterem kierowała zazdrość, dlatego wszystko rozdmuchał – zaczął, stawiając teczkę na stole w jadalni.

Sassy wybałuszyła oczy.

– Panem Callisterem? – spytała zmieszana. – Przecież... to John Taggert wyrwał mnie z rąk Tarletona. Krzyknęłam akurat gdy pan Taggert wszedł do sklepu, a on przybiegł mi na ratunek. Nie znam żadnego pana Callistera.

– Pani nie wie, kim jest John Callister? – spytał z niedowierzaniem James Addy. – On i jego brat Gil są właścicielami olbrzymiego rancza w Medicine Ridge, na którym hodują najwspanialsze na świecie byki zarodowe. Mają ziemię nie tylko w Montanie, ale także w sąsiednich stanach oraz... mniejsza z tym. Ich rodzice zaś to właściciele Sportsman Enterprises. To jedna z najbogatszych rodzin w Ameryce.

–Wiem, czytałam o nich – powiedziała Sassy, wciąż nie rozumiejąc, o co chodzi. – Ale co oni mają wspólnego z Johnem Taggertem, poza tym, że są jego szefami?

Prawnika wreszcie olśniło. Dziewczyna nie ma pojęcia, kim jest jej adorator! Rozejrzył się po skromnie urządzonej sypialni, który w sposób

jednoznaczny świadczył o jej zamożności. Hm, mała szansa, aby milioner zakochał się w biedaczce. Przypuszczalnie Callister zabawia się tym dziewczęciem. Addy zmarszczył czoło. Zrobiło mu się żal dziewczyny.

– Pełne nazwisko pani znajomego brzmi John Taggert Callister – oznajmił łagodnie. – Jest młodszym bratem Gila Callistera.

Sassy zbladła. Marzyła o wspólnym życiu z Johnem, o stworzeniu szczęśliwej rodziny. On jednak jest milionerem, porusza się w wysokich sferach, może banknotami przypalać papierosy. Przyjechał do Hollister nadzorować remont nowego rancza i trochę się nudził. Ona była pod ręką, więc się zabawił. Wszystko było grą. Zakręciło się jej w głowie. Nie wiedziała, jak się zachować. I jak wyznać prawdę matce.

Objąwszy się w pasie, siedziała bez ruchu niczym posąg i wpatrywała się w prawnika, bezgłośnie błagając go, by powiedział jej, że to pomyłka.

– Bardzo mi przykro – rzekł ze współczuciem w głosie. – Sądziłem, że zna pani prawdę.

– Usłyszałam ją dopiero dziś, od pana – szepnęła. Zacisnęła powieki. Ból przeniknął ją na wskroś. Miała wrażenie, jakby całe jej życie legło w ruinie.

James Addy milczał chwilę, szukając słów.

– Panno Peale, przepraszam, ale muszę panią o to spytać... Czy Tarleton próbował panią zgwałcić?

Zamrugła, po czym napotkała jego wzrok.

– Tarleton przyparł mnie do ściany, zaczął mnie całować i obmacywać. Broniałam się. To go rozwścieczyło. Chwycił mnie mocniej i usiłował rzucić na podłogę, kiedy do pokoju wpadł John... to znaczy, pan Callister. Pan Callister ściągnął ze mnie Tarletona, a potem wezwał policję.

Prawnik pokiwał głową; minę miał nietęgą.

– Co stwierdził lekarz, do którego panią zabrano?

– Widział, że mam siniaki, że jestem obolała. On... Tarleton podarł mi bluzkę. Nie... nie było żadnych namacalnych dowodów. Do niczego więcej przecież nie doszło. Po prostu byłam wystraszona, płakałam...

– Panno Peale, czy miała miejsce próba gwałtu? – Nie... nie wiem. Gwałtu chyba nie. Tarleton całował mnie, dotykał, ale nie próbował zedrzyć ze mnie ubrania, jeśli o to panu chodzi.

– Tak, o to. – Addy oparł łokcie na stole. – Trudno wytoczyć proces o usiłowanie gwałtu, kiedy były tylko wymuszone pocałunki. Ale można wytoczyć proces o molestowanie seksualne. Kara, jeśli Tarleton zostanie uznany winnym, wyniesie do sześciu miesięcy więzienia lub maksimum pięćset dolarów grzywny. Jeżeli podczas molestowania sprawca dokonał obrażeń cielesnych, wtedy może dostać od czterech lat do dożywocia. Ale musiałyby pani udowodnić, że te obrażenia były wynikiem niechcianych pocałunków. – Addy westchnął. – Nie sądzę, by ława przysięgłych uznała, że za pocałunki i siniaki należy się sprawcy dożywocie.

– Nawet ja bym tak surowej kary nie wymierzyła – rzekła Sassy. – Czy to prawda, że Tarleton nigdy wcześniej nie był karany?

Prawnik skinął głową.

– Raz został zatrzymany i oskarżony o molestowanie seksualne, ale sąd go uniewinnił, więc ma czyste konto. Przynajmniej w Montanie.

Była zmęczona tą sprawą. Chciała zapomnieć o Tarletonie, o tym, jak się do niej przystawiał, jak ją nękał. Wiedziała jednak, że to będzie możliwe dopiero po zakończeniu procesu. Najgorsze, że nie mogła przedstawić żadnych konkretnych dowodów.

Niestety Addy miał rację. Nawet jeśli Tarleton zamierzał dokonać gwałtu, skończyło się na pocałunkach i siniakach. A to trudno uznać za wielką zbrodnię.

Mimo wszystko dlaczego takie zachowanie miałyby mu ująć płazem? Pewnie posunąłby się dalej. Wcześniej napastował inne dziewczyny, którym brakowało odwagi, aby podać go do sądu. Ona, Sassy, nie jest tchórzem, nie wycofa się.

Nagle coś przyszło jej do głowy. Jeżeli John Taggert Callister będzie wezwany na świadka, zrobi się z tego afery medialna. Facet jest sławny. Jego obecność na procesie zostanie zauważona. Zjadą się dziennikarze, reporterzy. Sprawa może trafić na pierwsze strony gazet. Ucierpi mama. Ucierpi Selene. Nie, nie można na to pozwolić. Musi myśleć o matce, która wciąż się leczy. Nie może jej narażać na dodatkowy stres.

Podniosła głowę i popatrzyła Addy'emu w oczy.

– Jeżeli pan Callister będzie zeznawał, sprawa nabierze rozgłosu, prawda? Uboga dziewczyna, milioner, próba gwałtu... media uwielbiają takie tematy. Dziennikarze, zwłaszcza ci z prasy brukowej, nie odpuszczają, zaczną przekręcać fakty, podsycać atmosferę. Oczywiście zainteresuje ich również mama i Selene. A ludzie będą czytać, w końcu nazwisko Johna to magnes, który zwiększy nakład pisma. Zrobi się cyrk.

Prawnik zawahał się.

– Akurat tym nie powinna się pani...

– Moja matka ma raka płuc – przerwała mu Sassy. – Niedawno przeszła operację, teraz poddawana jest chemio i radioterapii. Nie chcę jej dodatkowo stresować. Wolałabym uniknąć głośnego procesu. Proszę mi poradzić: co mam zrobić?

Addy zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Rozwiązaniem byłaby ugoda. Nie jest to idealne wyjście, ale... gdyby Tarleton dobrowolnie poddał się karze, dostałby lżejszy wyrok, grzywnę i rok lub dwa, pewnie w zawieszeniu. Jednak w rejestrze sądowym figurowałby jako karany. To oznacza, że gdyby w przyszłości dopuścił się podobnego czynu, nie wywinąłby się tak łatwo. Wprawdzie otrzymał obrońcę z urzędu, ale podejrzewam, że nie chce tkwić za kratkami, czekając na proces. Myślę, że poszedłby na zaproponowany przez nas układ. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, kim jest świadek oskarżenia. – Prawnik pokiwał głową. – Zrozumie, że nigdy nie wygra z Callisterami.

Sassy zaczęła rozważać za i przeciw takiego rozwiązania. Uniknęłaby traumy związanej z najazdem dziennikarzy. Tarleton znalazłby się w rejestrze karanych i może świadomość tego faktu powstrzymałaby go od napastowania innych kobiet.

– Dobrze – powiedziała po chwili. – Byleby mu to nie uszło na sucho.

– Na pewno nie ujdzie – oznajmił z powagą Addy. –Przyrzekam.

Decyzja jednak należy do pani: idziemy na ugodę czy walczymy ostro?

– Wolalabym, żeby poniósł surową karę – przyznała Sassy – ale muszę myśleć o matce. Chyba rozwiązanie, które pan mi podsunął, jest rozsądne.

Tarleton otrzyma łagodny wyrok, a mama będzie miała spokój. Nie

wiadomo, czym by się zakończył głośny proces śledzony przez media.

Obrona usiłowałaby pokazać, że Johnem kierowała zazdrość, a on ma dwie małe bratanice... – Skrzywiła się. –Prawo nie zawsze bywa sprawiedliwe.

– Nie zawsze. Ale na ogół nie krzywdzi niewinnych.

– Mam nadzieję, że to słuszna decyzja. Bo jeśli po wyjściu na wolność ten drań skrzywdzi kolejną dziewczynę, nigdy sobie nie wybaczę, że stchórzyłam.

– Pani nie stchórzyła, panno Peale. Pani wybrała inne rozwiązanie. Tarleton zostanie ukarany.

Sassy uśmiechnęła się. Podobał się jej ten prawnik. Addy zamknął teczkę, wstał i podał jej rękę.

– Będzie widniał w rejestrze karanych. Jeżeli popełni w Montanie następne przestępstwo, spędzi wiele lat za kratami. Może być pani tego pewna.

– Dziękuję, panie Addy.

– Będę panią o wszystkim informował. Dobranoc, panno Peale.

Odprowadziła go wzrokiem do samochodu. Owszem, wybrała kompromis, ale zrobiła to z uwagi na matkę. Nie chciała burzyć jej spokoju, narażać na plotki, na podłe artykuły w prasie, na szum medialny. Mama już dość się nacierpiła.

Zamknawszy drzwi, wróciła do środka. Matka, słaba, blada jak ściana, wyłoniła się w szlafroku z sypialni.

– Kochanie, przyniesiesz mi szklanekę soku ananasowego? – zapytała, siląc się na uśmiech.

– Oczywiście. – Sassy pośpieszyła do kuchni. – Jak się czujesz?

– Jak przekłuty balon. Ale nie martw się, to normalne skutki uboczne chemii... – Westchnęła. – Przynajmniej mam z nią spokój na kilka tygodni. – Nagle zmarszczyła czoło. – Co się dzieje? Kim był ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś?

– Wracaj do łóżka, mamo. – Odstawiwszy na bok szklanekę, Sassy pomogła matce się położyć, przykryła ją, po czym usiadła na materacu. – A ten mężczyzna to zastępca prokuratora. Pan Addy. Przyszedł w sprawie Tarletona. Chce zaproponować ugodę, żeby Tarleton dobrowolnie poddał się niższej karze. Wtedy unikniemy długiej i nieprzyjemnej rozprawy.

– Ale Tarleton jest winny. Dobierał się do ciebie. Powinien ponieść...

– Poniesie – przerwała jej Sassy. – Dostanie wyrok w zawieszeniu i karę grzywny. Będzie notowany. A ja nie będę musiała odpowiadać na krepujące pytania jego obrońcy.

Pani Peale przez chwilę dumiała nad słowami córki. Hm, widziała wiele takich procesów w telewizji...

– W porządku, kochanie. Jeśli tak wolisz... – Uśmiechnęła się. – John nie dzwonił? Obiecał wpaść po powrocie z pudełkiem moich ulubionych czekoladek.

Sassy zawahała się. Nie może powiedzieć matce prawdy. Jeszcze nie teraz.

– Nie, nie rozmawiałam z nim.

– Źle wyglądasz...

– Nic mi nie jest – Sassy zapewniła matkę. – Śpij, a ja przejrę rachunki i przygotuję Selene do szkoły.

Pani Peale ułożyła się wygodnie.

– Jesteś dla mnie za dobra. – Na moment zamilkła. – Kiedy tylko odzyskam siły, musisz przestać się mną zajmować, a zacząć myśleć o sobie. Nie możesz poświęcić dla mnie życia. Ja sobie poradzę, bo dzięki Johnowi i lekarzom z Billings będę zdrowa.

– Och, mam, przecież ja was kocham, ciebie i Selene. I wszystko, co robię, robię z miłości, a nie z poczucia obowiązku.

– Wiem, ale przez nas masz bardzo ograniczone życie towarzyskie...

– Mam cudowne życie!

Twarz starszej kobiety rozpromieniła się.

– Nie mogę się doczekać Johna; ma dla ciebie niespodziankę.

– Tak?

Może, przemknęło Sassy przez myśl, tą niespodzianką jest wiadomość, którą usłyszała od prawnika. Że ją oszukiwał, że ukrywał swą tożsamość. Nie chciała jednak mówić nic matce. Matka jest taka szczęśliwa. Po co burzyć jej obraz człowieka, którego uwielbia?

– Słowo daję. Ale nie siedź zbyt długo, kochanie. Bo naprawdę nie najlepiej wyglądasz.

– Po prostu jestem zmęczona. Mieliśmy mnóstwo roboty w sklepie – skłamała. – Dobranoc, mamó.

– Dobranoc, kochanie. Śpij dobrze.

Chciałabym, pomyślała gorzko Sassy, zamykając drzwi. Kilka minut później zostawiła rachunki, poszła do sypialni i wybuchnęła płaczem.

Nazajutrz po powrocie z niespodziewanej, lecz ważnej podróży służbowej do Kolorado John wszedł do sklepu i ujrawszy Sassy za ladą, ruszył do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

Spojrzenie, jakie mu posłała, nie pozostawiało wątpliwości. W dodatku była spięta i wyraźnie unikała jego wzroku.

– Kto ci powiedział? – spytał bez ogródek.

Wciągnęła z sykiem powietrze. Wyglądał groźnie. Jego nazwisko, pieniądze oraz władza, jaką miał, działały na nią onieśmielająco. John Taggart Callister nie cofał się przed niczym. Był panem samego siebie. Mógł wszędzie jechać, wszystko kupić, robić to, na co miał ochotę. Od niej, Sassy, która mieszkała w domu z przeciekającym dachem, dzieliła go głęboka przepaść. Sympatyczny beztroski kowboj, którego znała, nagle stał się obcym człowiekiem.

– Zastępca prokuratora – odparła cicho. – Przyjechał, żeby ze mną porozmawiać. Tarleton podobno twierdzi, że kierowany zazdrością zmusiłeś mnie, żebym złożyła...

John nie wytrzymał.

– Resztę życia spędzi za kratkami! Już moi prawnicy tego dopilnują – wycedził przez zęby.

– Nie! – zawołała. – Proszę cię. Pomyśl o tych wszystkich dziennikarzach, którzy się tu zjadą. – Na moment zamilkła. – Stres szkodzi chorým. Nie chcę, żeby stan mamy się pogorszył.

– Nie przyszło mi to do głowy – przyznał cicho John. –Przepraszam.

– Pan Addy uważa, że Tarleton pójdzie na ugodę. Dostanie wyrok w zawieszeniu i karę grzywny. Z początku pan Addy chciał, żeby Tarleton odpowiadał za usiłowanie gwałtu, ale potrzebne byłyby dowody...

John zmarszczył czoło. Istniała niewielka szansa, by ława przysięgłych uznała winnym próby gwałtu człowieka, który swoją ofiarę całował i obmacywał. Oczywiście Tarleton posunąłby się dalej, ale jak to udowodnić? Ogarnęła go wściekłość. Marzył o tym, by drań poszedł do więzienia, jednak największą cenę zapłaciłaby pani Peale. Była słaba; stres mógłby ją zabić. Oczywiście Sassy ma rację: sławne nazwiska wzbudzają zainteresowanie. Zjechałyby się tłumy reporterów, sprawa nabrałaby rozgłosu. Hm, porozmawia z Addym. Sassy nie musi o tym wiedzieć.

– Jak się mama czuje? – spytał.

– Dobrze, dziękuję – odparła sztywno. – Jest trochę osłabiona po chemii, miała też nudności, ale lekarz coś jej na to przepisał. – Leki przeciwwymiotne kosztowały majątek, ale o tym Sassy nie wspomniała. Żeby kupić miesięczny zapas, wstawiła do lombardu zegarek i broń dziadka. O tym też nie wspomniała.

– Przywiozłem jej czekoladki – rzekł z uśmiechem John. –Takie, jakie lubi. Holenderskie.

– Rozpieszczasz mi mamę.

Wzruszył ramionami.

– Stać mnie na to. Mogę rozpieszczać, kogo chcę.

– Wiem, ale...

– Gdybyś ty miała pieniądze, a ja byłbym biedny i w potrzebie, nie chciałabyś mi pomóc?

– Oczywiście, że bym chciała! – oburzyła się.

– No, a ja chcę sprawić przyjemność twojej mamie. Zwłaszcza teraz, gdy się tyle wycierpiała. Dlaczego ci to przeszkadza?

– Nie, nie przeszkadza. Po prostu...

Krew odpłynęła jej z twarzy. Nagle. Sassy uświadomiła sobie, jak wiele zawdzięcza Johnowi.

– Po prostu? – spytał, gdy nie podjęła wątku.

– Nie było żadnej dotacji. Nie ma żadnej fundacji finansującej leczenie ubogich. – Głos uwiązł jej w gardle. – To ty zapłaciłeś za operację mamy! Ty za wszystko zapłaciłeś!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Sassy, to było jedyne wyjście – rzekł, usiłując przemówić jej do rozsądku. – Inaczej twoja mama by umarła. Kiedy Buck awansował cię na zastępcę kierownika sklepu, prosiłem, żeby sprawdził twoje ubezpieczenie. Okazało się, że nie obejmuje poważnych zabiegów medycznych. Buck miał poszukać innego, ale stan twojej mamy gwałtownie się pogorszył.

Przeniknął ją palący ból. Wiedziała, że nigdy nie zdoła zwrócić Johnowi pieniędzy, jakie wydał na leczenie matki. Całe życie była biedna, ale bieda nigdy nie doskwierała jej aż tak jak teraz.

– Jesteście częścią mojego życia – ciągnął łagodnie. – Ty, twoja mama, Selene. Wszystko bym dla was zrobił. Nie odbieraj mi tego. Ważne są uczucia, nie pieniądze.

– John, nie zdołam ci oddać...

– A czy ja mówiłem o pożyczce?

– Ale... – Wzięła głęboki oddech, szykując się do starcia. W tym momencie otworzyły się drzwi i do sklepu wszedł szeryf Theodore Graves. Skinął na powitanie Johnowi, po czym zsunął z czoła kapelusz i z poważną miną zwrócił się do Sassy:

– Zastępca prokuratora powiedział mi, że zdecydowałaś się na ugodę, to znaczy, że Tarleton dobrowolnie podda się karze i nie będzie procesu. Oczywiście Addy nie zamierza rozmawiać ze mną o tej sprawie, dlatego przyszedłem do ciebie. Wyjaśnij, Sassy: dlaczego podjęłaś taką decyzję?

– Z powodu mamy – odparła. – On... – wskazała na Johna – jest znanym człowiekiem. Gdyby doszło do procesu, zjechałyby się tłumy dziennikarzy. Sprawa stałaby się głośna. A stres mógłby mamę zabić.

Szeryf Graves stropił się.

– Faktycznie, nie pomyślałem o tym... Jak to znanym człowiekiem? – spytał nagle, zerkając na Johna. – Pan Taggert jest zarządcą rancza.

– Niestety nie. – Sassy westchnęła ciężko. – John Taggert to tak naprawdę John Callister.

Graves uniósł brwi.

– Z tych Callisterów w Medicine Ridge?

– Obawiam się, że tak. – John wzruszył ramionami.

– A nich mnie... !

– Przynajmniej Tarleton będzie notowany – ciągnęła Sassy. – Naprawdę chciałby pan, szeryfie, mieć w miasteczku cyrk medialny? Tarleton pewnie byłby zachwycony.

– W to akurat nie wątpię. – Graves wsunął ręce do kieszeni spodni. – Siedemdziesiąt pięć lat temu puścilibyśmy go do lasu i wysłali za nim pościg.

– Cywilizowani ludzie tak nie postępują.

– Cywilizowani ludzie nie próbują nikogo gwałcić. – Pokręcił głową. – No dobra, byleby drań trafił za kratki.

Mała szansa, pomyślała Sassy, ale nie powiedziała tego na głos. Addy podejrzewał, że skończy się na grzywnie i roku w zawieszeniu.

– Szkoda, że nie usiłował nam zwać, kiedy wieźliśmy go na przesłuchanie do Billings – zauważył szeryf. – Nawet wziąłem rewolwer dużego kalibru, tak na wszelki wypadek. Hm, a gdyby ktoś niechcący zostawił otwarte drzwi aresztu...

– Niech pan nawet o tym nie myśli! – zaprotestował John. – Nie pan jeden jest zawiedziony. Też Uczyłem na to, że skurwiel spędzi co najmniej piętnaście lat w kryminale. Ale nie za cenę życia mojej przyszłej teściowej.

– Teściowej? – W czarnych oczach szeryfa pojawił się błysk zaciekawienia.

Sassy zaczerwieniła się.

– To jeszcze nic pewnego. Musimy porozmawiać...

– Rozmawialiśmy – przypomniał jej John. – Zgodziłaś się mnie poślubić.

– To było, zanim dowiedziałam się, kim jesteś! – zareagowała ostro.

– No, znów widzę dawną Sassy. Ta twoja uprzejmość wobec pana Callistera strasznie mnie irytowała.

Rumieniec na jej twarzy jeszcze bardziej się pogłębił. John ma rację. Zamiast rozmawiać z nim jak z równym sobie, rozmawiała jak pracownica z szefem. Przeszła z nogi na nogę. Wciąż niezręcznie się czuła na myśl o jego bogactwie i swoim skromnym pochodzeniu.

– Uwielbiam śluby – oznajmił Graves. John rzucił na niego okiem. – Tak?

Graves skinął głową.

– Niestety, od lat na żadnym nie byłem. I nawet nie mam porządnego garnituru. – Wzruszył ramionami. – Ale mógłbym kupić, gdyby ktoś mnie zaprosił.

John wybuchnął śmiechem.

– To niech pan kupuje, szeryfie. Obiecuję, że otrzyma pan zaproszenie.

– Cieszę się. – Graves popatrzył na Sassy, która wciąż stała z niezdecydowaną miną. – Posłuchaj, złotko. Jakbym mieszkał w takim domu jak twój i jeździł rozklekotanym gratem, to gdyby przystojny mężczyzna o stabilnej sytuacji finansowej poprosił mnie o rękę, chwili bym się nie wahał.

Sassy z trudem zachowała powagę.

– A czy kiedykolwiek się panu oświadczył? Przystojny mężczyzna o stabilnej sytuacji finansowej?

– Chciałem ci jedynie służyć dobrą radą – mruknął szeryf.

– Wiem. I doceniam. A jeśli chodzi o Tarletona, to gdyby nie mama, też bym go chętnie posłała za kratki.

Ciemne oczy szeryfa znów rozbłysły.

– Prawdę rzekłszy, od paru tygodni tylko o tym myślę: do jakiego więzienia powinien trafić. Znam takie, w którym nawet kapelan chodzi z paralizatorem. Chyba polecę go prokuratorowi.

– Pan Addy powiedział, że jako wcześniej niekarany Tarleton pewnie dostanie wyrok w zawieszeniu.

– Niekarany? – Złośliwy uśmiech rozjaśnił twarz szeryfa. – Poszperałem wczoraj w komputerze i odkryłem, że dwa lata temu, w stanie Wyoming, Tarleton został skazany za próbę gwałtu. Dostał nadzór kuratora. Przed chwilą poinformowałem o tym Addy'ego, który niemal oszalał z radości.

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem Sassy. – Ale jak pan... skąd pan... ?

– Po prostu uznałem, że taki bydlak jak Tarleton na pewno ma więcej grzechów na sumieniu. I zacząłem sprawdzać. Skoro nie był karany w Montanie, to może w którymś z sąsiednich stanów popełnił jakieś przestępstwo. Sprawdziłem rejestr w Wyoming, potem pogadałem z ludźmi z tamtejszej prokuratury i wszystkiego się dowiedziałem. Natychmiast zadzwoniłem do Addy'ego, który jednak nie chciał mi zdradzić, dlatego wolałaś uniknąć procesu.

– Poprzedni wyrok zaważy na obecnym, prawda?

– Zdecydowanie tak – zapewnił Graves. – Jest jeszcze jedna dobra wiadomość. Sędzia, który miał rozpatrywać tę sprawę, musiał wziąć urlop z ważnych powodów rodzinnych. Nowa pani sędzia jest znana ze swej surowości i ma bzika, jeśli chodzi o przestępstwa na tle seksualnym.

Oczy Sassy się zaiskrzyły.

– Biedny Tarleton.

– Oj, biedny – przyznał John. – Dzięki, szeryfie.

– Pomyślałem sobie, że się ucieszycie. – Graves uśmiechnął się szeroko, po czym spojrzał na dziewczynę. – Rozumiem twoją decyzję, Sassy. Twoja mama jest przemiłą kobietą. Ta operacja to cud; ocaliła jej życie.

– Tak, to prawdziwy cud. – Sassy napotkała wzrok Johna. Szeryf nasunął kapelusz niżej na czoło.

– Niech pan nie zapomni o zaproszeniu, panie Callister. Z tej okazji nawet wypastuję buty.

– Na pewno nie zapomnę – obiecał John.

– Dziękuję, szeryfie.

– Drobiazg, Sassy. Lubię szczęśliwe zakończenia.

– Wpadnę do ciebie po kolacji – rzekł John, gdy zostali sami w sklepie. – Mamy wiele do obgadania.

– John, jestem biedna...

Przechylił się nad ladą i pocałował Sassy w usta.

– A ja będę jeszcze biedniejszy, jeśli za mnie nie wyjdiesz. – Wyjął z kieszeni małe pudełeczko i wcisnął jej do ręki. – Otwórz po moim wyjściu.

– Co to?

– Temat naszej wieczornej rozmowy. – Mrugnawszy do niej, skierował się ku drzwiom.

Uniosła aksamitne wieczko. Wewnątrz zobaczyła złotą obrączkę z wytłaczanym wzorem i pierścionek z brylantem. Wpatrywała się w te cuda, aż oczy zaczęły jej łzawić. Nie była to zwykła obrączka i zwykły pierścionek, lecz pamiątki rodowe, jakie przekazuje się z pokolenia na pokolenie. Przycisnęła pudełeczko do piersi. Mimo dzielących ich różnic, wiedziała, jaką odpowiedź da Johnowi.

Przez kilka minut pani Peale nie była w stanie zrozumieć, co córka do niej mówi.

– Nie, kochanie. Coś ci się pomyliło. John pracuje dla pana Callistera.

– Owszem, tak nam powiedział, ale nie wspomniał, że to również jego nazwisko – tłumaczyła cierpliwie Sassy. – Taggart to jego drugie imię. On i jego brat Gil są właścicielami jednego z najbardziej znanych rancz na zachodzie. Z kolei do ich rodziców należy to pismo sportowe, które tatuś czytał, zanim odszedł z domu.

Pani Peale westchnęła ciężko.

– W takim razie po co tu przychodził? Po co zawracał nam głowę?

– Bo.. – Sassy zaczerwieniła się. – Otóż wygląda na to... –

Zrezygnowana wcisnęła matce do ręki pudełeczko, które John podarował jej w sklepie. – Zobacz, co mi dał.

Pani Peale wytrzeszczyła oczy.

– Boże, jakie piękne – szepnęła, gładząc ozdobny wzór na obrączce. – To ten typ biżuterii, którą przekazuje się kolejnym pokoleniom. Ja nosiłam obrączkę twojej babki, ale musiałam ją sprzedać, kiedy byłaś mała, bo nie mieliśmy pieniędzy na lekarza. – Zamglonym wzrokiem popatrzyła na córkę. – On tak serio?

– Chyba tak. – Sassy usiadła koło matki. – Wciąż nie mogę uwierzyć.

– Rachunek za szpital... – Pani Peale umilkła. – Nie było pieniędzy z żadnej fundacji?

Sassy potrząsnęła głową.

– Powiedział, że nie mógłby stać bezczynnie i patrzeć, jak umierasz. Lubi cię.

– Ja jego też. Poza tym chce się ożenić z moją córką. – Zamyśliła się. – Pamiętasz, co mi powiedziała twoja babka? Że ja będę biedna, lecz moja córka będzie żyła w luksusie. – Roześmiała się. – No i co? Miała rację!

– Może faktycznie była jasnowidzem.

Sassy zabrała matce pudełeczko i długo spoglądała na pierścionek i obrączkę. Hm, czasem marzenia się spełniają.

John przyjechał tuż po zachodzie słońca. Ucałował panią Peale oraz Seline i zapewnił je, że po ślubie nie wywiezie Sassy na drugi koniec świata.

– Będziemy mieszkać niedaleko stąd, na moim ranczu – rzekł z uśmiechem. – Dom jest ogromny, wszyscy się w nim pomieścimy.

Pani Peale pokręciła głową.

– Nie, chłopcze. Może ta chałupa nie należy do najpiękniejszych, ale mieszkam w niej już tyle lat. I wolałabym w niej pozostać.

Pochylił się i ponownie cmoknął kobietę w policzek.

– W porządku. W takim razie przeprowadzimy tu mały remoncik i znajdziemy mamie opiekunkę. Sama ją sobie mama wybierze.

Oczy pani Peale zaszkliły się.

– Zrobiłbyś to dla mnie, John?

– Oczywiście, mamó – powiedział i wcale nie żartował. – A teraz zabieram Sassy, żeby omówić z nią szczegóły naszego ślubu.

Kobieta uścisnęła przyszłego zięcia, który już teraz, przed ślubem, mówił do niej „mamo”.

– Będziesz najwspanialszym zięciem na świecie.

Zabrał Sassy na swoje ranczo. Stodoła już stała, obora była prawie skończona, a dom w niczym nie przypominał chałupy Bradbury'ego. Sassy krążyła zachwycona po kuchni, a on przyglądał się jej z uśmiechem.

– Jeśli chcesz, możemy zatrudnić kucharkę.

Gładząc ręką świeżo zakupioną kuchenkę mającą mnóstwo różnych funkcji, Sassy obejrzała się przez ramię. – Nie, chętnie sama pogotuję. – Zawahała się. – John, jeśli chodzi o mamę i Selene...

Zgarnął dziewczynę w ramiona.

– Nie martw się. Z tą opiekunką mówiłem serio. Ale nie wystarczy zwykła opiekunka, to musi być pielęgniarka.

– Oczywiście pielęgniarka zapewni dobrą opiekę, lecz...

– Mama nie będzie mieszkała sama, to najważniejsze. A ty codziennie będziesz ją mogła odwiedzać.

– Dobrze. – Nagle Sassy przypomniała sobie coś, co kiedyś czytała o Callisterach. – Sporo podróżujesz, prawda? Jeździsz na wystawy bydła...

– Jeździłem. Teraz Gil wynajął człowieka, który się tym trudni. My też kogoś takiego znajdziemy. – Na moment zamilkł. – Sassy, przeprowadziłem parę rozmów z kobietami, które mogłyby zamieszkać z twoją mamą. Kazałem też sprawdzić ich przeszłość – dodał. – Nie miej tak zdziwionej miny. Po prostu kiedy zrozumiałem, że chcę być z tobą, zacząłem się zastanawiać, jak sobie mama poradzi bez ciebie.

– Jesteś niesamowity. Błysnął zębami w uśmiechu.

– Potencjalne opiekunki zaczną pukać do waszych drzwi w piątek o dziesiątej rano. Uprzedź mamę. – Poglądził ją po twarzy. – Jej naprawdę

będzie lepiej we własnym domu. A ty codziennie możesz do niej wpadać, w weekendy nawet dwa razy dziennie.

– Masz rację. – Podniosła wzrok. – Wiesz, że mama cię uwielbia?

– Ja ją również. Kupimy jej nowy telewizor, sprzęty do kuchni, wyremontujemy, co trzeba...

– Trzeba prawie wszystko – zauważyła ponurym tonem. – Dom się wali.

– Zapomniałaś? Jestem bogaty.

Przytuliła go z całej siły.

– John, chcesz mieć dzieci? Oczy mu załśniły.

– No pewnie! Możemy od razu wziąć się do roboty. Wprawdzie stół kuchenny jest ciut przykrótki... Au! Sassy cofnęła łokieć, którym dźgnęła go w żebra.

– Co ja mam z tobą począć?

– Pokazać ci? – spytał zachwycony, gdy oblała się rumieńcem.

– Wyjrzyj przez okno – poradziła mu.

Na zewnątrz kręciło się mnóstwo ludzi. Mimo późnej pory wciąż pracowali.

– Chcesz, żeby twoje zdjęcie trafiło do prasy? Albo do serwisu plotkarskiego w internecie?

– No dobra. Poczekamy. – Ponownie wyjrzał na zewnątrz. – Ale miesiąca miodowego nie spędzimy w tym domu!

Nie zaprotestowała, gdy ją pociągnął w stronę ciemnego korytarza.

– Tu nas nikt nie zobaczy. Chyba żeby miał noktowizor.

Kiedy ją pieścił, czuła dreszcze na całym ciele. A kiedy wsunął ręce pod jej bluzkę, aż jęknęła z rozkoszy. Nie miała doświadczenia, lecz pragnęła bliskości – fizycznej i emocjonalnej. Przywierała coraz mocniej do

Johna, jakby chciała się w niego wtopić. Przyparł ją do ściany, zwiększył siłę i intensywność pocałunków...

Zadrzała, po chwili zamruczała podniecona. Jej ochrypły głos wdarł się do jego świadomości. John opuścił ręce i cofnął się krok. Oddychając ciężko, próbował odzyskać nad sobą kontrolę.

– Nie przerywaj – szepnęła niepokieszona.

– Muszę. – Pociągnął ją z powrotem do kuchni. Podobnie jak Sassy, policzki miał lekko zaczerwienione. – Do ślubu nie będziemy przebywać z sobą sam na sam. – Popatrzył w jej zielone oczy. – Będzie konwencjonalnie, po bożemu.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Zresztą – dodał z szelmowskim uśmiechem – jeszcze nie kupiłem łóżka.

Będą wspaniałym małżeństwem, nie miała wątpliwości. Przestała się zadreć różnicą w ich stanie majątkowym. Kiedy John trzymał ją w ramionach, czuła się jak w niebie. A w niebie pieniądze się nie liczą.

Tydzień później John oznajmił, że przyjeżdża jego rodzina: brat z żoną chcą ją poznać. Tej nocy Sassy nie zmrużyła oka. Bała się, co powiedzą ci bogaci ludzie, kiedy zobaczą, w jak skromnych warunkach ona, mama i Selene żyją. Może pomyślą, że chodzi jej wyłącznie o pieniądze Johna?

Wciąż się zamartwiała, kiedy zastukali do jej drzwi. Specjalnie na tę okazję włożyła swoją najlepszą sukienkę, długą, beżową, o prostym kroju. Najlepszą, ale kupioną co najmniej dwa lata temu, i to w zwykłym sklepie, a nie butik. Buty, które miała na sobie, były starsze od sukienki i nieco porysowane.

Ale wysoki blondyn i szczupła ciemnowłosa kobieta nie zwracali uwagi na jej strój. Brunetka, która sprawiała wrażenie niewiele starszej od Sassy, uścisnęła ją serdecznie.

– Jestem Kasie – przedstawiła się. – To mój mąż, Gil. Brat Johna uśmiechnął się przyjaźnie.

– A to... – Kasie wskazała na dwie małe blondyneczki – nasze córki. Starsza Bess i młodsza Jenny. Dziewczynki, przywitajcie się z narzeczoną wujka Johna.

Zbliżywszy się o krok, Bess popatrzyła z zaciekawieniem na Sassy.

– Będiesz żoną naszego wujka? On jest super.

– Jest bardzo super – rzekła Sassy, biorąc narzeczonego za rękę. – A ja obiecuję, że będę o niego dbała jak o największy skarb.

– Dobrze. – Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało.

– Wejdźcie, proszę. Przepraszam, że tu tak...

– Skromnie? – przerwał jej Gil. – Coś ci powiem, Sassy. Wuj, który wychowywał mnie i Johna, mieszkał w równie skromnym wiejskim domu. Obaj uważamy, że dzięki warunkom, w jakich się chowaliśmy, wyrosliśmy na uczciwych ludzi.

– Innymi słowy, nie przepraszaj – wtrącił teatralnym szeptem John.

Sassy roześmiała się z ulgą. Później dowiedziała się, że Kasie dorastała w jeszcze trudniejszych warunkach, w Afryce, na terenie objętym wojną, z ojcem i matką, którzy byli misjonarzami i którzy tam zginęli.

Pani Peale i Selene też wydawały się onieśmiałe gośćmi.

– A cóż to za miny? – spytał groźnie John, po czym zwrócił się do brata i bratowej. – Kochani, przedstawiam wam moją przyszłą teściową. To najmiłsza kobieta, jaką znam. Poza Kasie.

– A ja? – obruszyła się Sassy.

– Ty jesteś bezcenna!

– A, to w porządku. – Rozpromieniła się. – Kasie, Gil, usiądźcie, proszę. Może napijecie się kawy?

– Och, nie – jęknął Gil. – Przez całą drogę żona poila mnie kawą. Wczoraj do późna naprawiałem ogrodzenie, które burza zniszczyła, i dziś byłem nieprzytomny...

– Razem ze swoimi pracownikami lata pan ogrodzenia? – zdziwiła się pani Peale.

– Naturalnie. Jak trzeba, zawsze z Johnem zakasujemy rękawy. Nie oglądamy się na innych.

Pani Peale odprężyła się. Sassy również. Nawet Selene, która obawiała się obcych, poczuła do nich sympatię. Wizyta należała do niezwykle udanych.

– Jak ci się podobali? – spytał John po wyjeździe gości, kiedy sam również szykował się do wyjścia.

– Ogromnie! – Sassy przytuliła się do niego na ganku. – Są ciepli, serdeczni, w ogóle nie zadzierają nosa.

– Tak jak powiedział Gil, wychowywaliśmy się w surowych warunkach u wuja, który nauczył nas, że pieniądze nie są najważniejszą rzeczą na świecie. – Pocałował ją lekko w usta. – Ty też się im spodobałaś. Czyli nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wzięli ślub.

– Boże – jęknęła. – Nie wiem, jak to ogarnąć! Jak to zaplanować!..

Uśmiechnął się.

– Zostaw to mnie.

Zatrudnił niezwykle sprawną i dyskretną organizatorkę wesel z Kolorado, która wszystkim się zajęła, a nawet pomogła Sassy wybrać suknię

ślubną. Sassy uważała, że suknia jest za droga, ale John stwierdził, że przecież wychodzi za mąż jeden jedyny raz w życiu.

Dowiedziawszy się, że jakiś czas temu, nie mając za co opłacić rachunków, Sassy wstawiła do lombardu zegarek dziadka, John wykupił go i kilka dni przed ślubem wręczył narzeczonej mały pakuneczek. Wzruszona rozplakała się, a on, uradowany, pocałunkami osuszył jej łzy.

Wesele miało się odbyć na rodzinnym ranczu w Medicine Ridge, które zabezpieczono przed reporterami i nieproszonymi gośćmi. Nikt nie miał szansy wejść bez zaproszenia oraz dokumentu ze zdjęciem.

– To naprawdę konieczne? – zdziwiła się Sassy.

– Nasi rodzice to bardzo znani ludzie, a ojciec nie potrafi trzymać języka za zębami. Wszystkim opowiada o swojej przyszłej synowej.

Sassy zaczerwieniła się.

– A twoja mama? Nie przeszkadza jej, że ja...

– Jest zachwycona, że zobaczy wnuczki. I zachwycona informacją, że potrafisz robić na drutach. To jej marzenie, żeby sobie dziergać, haftować. Ma tonę wełny, włóczki...

– Chętnie ją wszystkiego nauczę. John, czy oni nie myślą, że skusiły mnie twoje pieniądze?

Pokręcił ze śmiechem głową.

– Kiedy ci się oświadczyłem, sądziłaś, że jestem zwykłym kowbojem. Rodzice to wiedzą.

Odetchnęła z ulgą.

– Jeszcze kilka dni – szepnął jej do ucha. – Już się nie mogę doczekać.

– Ja też. Ale jeszcze tyle jest do zrobienia...

– Wszystkim zajmuje się Mary. A ty możesz pomóc mamie i Selene w doborze stroju.

– Och, one uwielbiają łązić po sklepach. I na szczęście mama czuje się znacznie lepiej.

– To dobrze. Na weselu będzie pielęgniarka. Tak na wszelki wypadek. Więc o nic się nie martw.

Czyż on nie jest najwspanialszym mężczyzną na świecie? – pomyślała.

I wreszcie nadszedł ten dzień. Sassy była przerażona. Bała się, że potknie się o własną suknię i przewróci. Miała tremę niczym aktorka przed ważnym występem.

Ale gdy stanęła w drzwiach wielkiej sali balowej i zobaczyła czekającego przy prowizorycznym ołtarzu pana młodego, poczuła, jak spływa na nią spokój. Ściskając w dłoni bukiet, wolnym krokiem ruszyła w stronę Johna. Kiedy uśmiechnął się do niej, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Ceremonia przebiegała bez niespodzianek, dopóki pastor nie spytał pana młodego, czy ma obrączki. John zaczął ich nerwowo szukać po kieszeniach.

– Wujku, zapomniałeś? – spytała Jenny, podsuwając mu jedwabną poduszkę. – Ja mam obrączki.

– Uff. – John przetarł czoło. – Dziękuję, aniołku. Goście wybuchnęli śmiechem.

Kiedy pastor ogłosił ich mężem i żoną, John uniósł welon, odsłaniając twarz Sassy, i pocałował ją czule w usta. Potem pozowali do zdjęć, tańczyli, jedli tort weselny.

– Jeszcze godzinka i lecimy na Cancun.

– Ty, ja, piasek, słońce... – Sassy rozmarzyła się.

– I łóżko – dodał John, poruszając zabawnie brwiami.

Przytuliła się, chcąc ukryć rumieńce. Nagle za plecami usłyszeli znajomy głos:

– Całkiem niezłe wesele. – Szeryf Graves w eleganckim garniturze i wypastowanych butach trzymał w dłoni talerzyk z tortem. – Chociaż nie ma kawy.

– Jak to? – John wskazał na swoją filiżankę.

– Skąd pan ją wziął?

John skinął za siebie na stojący nieopodał ekspres.

– Świetnie – ucieszył się szeryf. – Kochani, życzę wam mnóstwo szczęścia i... Aha, mam dla was prezent. – Wyciągnął z kieszeni nieduże płaskie pudełko. – Coś praktycznego.

– Dziękuję – powiedziała wzruszona Sassy Szeryf mrugnął do Johna i odszedł.

– Ciekawe, co to...

Sassy zdarła opakowanie i uśmiechnęła się na widok płyt CD z muzyką romantyczną. Małżonkowie zerknęli za siebie. Graves uniósł w niemym toaście filiżankę z kawą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mieszkali w hotelu na plaży zbudowanym na kształt piramidy Majów. Sassy, zarumieniona po pierwszych doznaniach miłosnych, leżała przytulona do męża.

– Pierwszy raz zwykle bywa taki sobie, potem jest już coraz lepiej – szepnął John, muskając jej usta.

– Taki sobie, co ty mówisz? Boże, myślałam, że umrę z rozkoszy!

Trzymając się za ręce, wędrowali plażą o wschodzie słońca i patrzyli z zachwytem na najróżniejsze odcienie wody w Zatoce Meksykańskiej.

– Nie przypuszczałam, że są tak cudne miejsca na świecie. Ten piasek wygląda jak cukier puder.

– Szkoda, że nie wziąłem aparatu. Gapa ze mnie.

– Przecież możemy kupić – powiedziała Sassy. – Muszę mieć twoje zdjęcie w kąpielówkach!

– Przy okazji moglibyśmy kupić również prezenty dla najbliższych.

– I jakiś drobiazg dla szeryfa.

– Co proponujesz? – spytał John.

– Może jakiś ludowy instrument?

Po powrocie z Meksyku zatrzymali się na weekend na ranchu w Medicine Ridge, gdzie Sassy miała okazję nieco lepiej poznać swoją szwagierkę.

– Muszę ci powiedzieć, że strasznie się bałam. Ogromna przepaść dzieli świat mój i Johna...

– Ja też się bałam – przyznała Kasie. – Urodziłam się w Afryce. Moi rodzice, którzy byli misjonarzami, zginęli na moich oczach. Zostaliśmy sami, ja i Kantor. Zamieszkaliśmy z ciotką w Arizonie. Po latach mój brat

ożenił się, miał córeczkę. I też wyjechał do Afryki. Leciał z rodziną samolotem, kiedy ich maszyna została zestrzelona. Nie wierzyłam, że jeszcze spotka mnie w życiu coś dobrego. – Napotkała wzrok Sassy. – Kiedy zaczęłam pracę u Callisterów, Gil wziął się na mnie. Po prostu mnie nie lubił.

– A wydaje się takim sympatycznym człowiekiem.

– Jego pierwsza żona zginęła w wypadku, a on... Zamknął się; nie chciał się angażować. Poza wszystkim innym uważał, że jest dla mnie za stary.

– To tak jak John. Też uważał, że jestem za młoda. A ja uważałam, że on jest za bogaty.

Kasie roześmiała się.

– Ale kiedy człowiek kocha, pieniądze nie mają znaczenia. Mnie i Gila wiele łączy. On jest nie tylko moim mężem, ale i najlepszym przyjacielem.

– A John moim. W dodatku mama go uwielbia...

– A ciebie bardzo polubili rodzice Johna i Gila.

– Naprawdę? – zdumiała się Sassy. – Na weselu zamieniłam z nimi może dziesięć słów!

– Za to przed weselem John opowiadał im dużo o tobie. Magdalena jest zachwycona szalem, który zrobiłaś. Koniecznie chce, żebyś ją nauczyła robić na drutach.

– John wspomniał mi o tym, ale byłam pewna, że żartuje.

– Nie zdziw się, kochana, gdy któregoś dnia teściowa zjawi się w twoim domu z torbą drutów i włóczek.

– To taka piękna kobieta...

– Wiesz, że nasi mężowie nie utrzymywali z rodzicami kontaktu?

Dopiero podczas naszego miesiąca miodowego zmusiłam Gila, żeby spotkał

się z matką. To nie są źli ludzie, ona i ich ojciec; po prostu pobrali się młodo i nie dorośli do roli rodziców. Chłopcami zajął się wuj. Gil z Johnem myśleli, że rodzice ich nie chcą, a to nie była prawda...

– Pierwsze lata są takie ważne dla rozwoju dziecka...

– Masz rację – przyznała Kasie. – Chodź, powinniśmy wrócić do środka, bo twój mąż zacznie się niepokoić.

– Mój cudowny, wspaniały mąż...

– Trafiło nam się jak ślepej kurze ziarno, prawda?

– Tak, ale gdyby nie mieli grosza przy duszy, też byśmy ich kochały.

– O czym tak długo rozmawiałyście? – spytał wieczorem John, gdy Sassy leżała w jego objęciach.

– O tym, że poślubiłyśmy fantastycznych facetów. – Pocałowała go w usta.

– Opowiedziała ci o swojej przeszłości?

– Tak. Niesamowita historia. Wspomniała też, że na początku Gil nie bardzo ją lubił...

John wybuchnął śmiechem.

– W dodatku wyrzucił ją z pracy. Ale w porę zrozumiał swój błąd. Po prostu Kasie była dość tajemnicza, a on nie chciał znów mieć złamanego serca. – Przymknąwszy oczy, przytulił żonę. – Jutro, pani Callister, wracamy do domu.

– Czas najwyższy, panie Callister – odparła cicho i po chwili zapadła w sen.

Pani Peale była zachwycona swoją nową opiekunką, wykwalifikowaną pielęgniarzką o imieniu Helen, która –nie mając bliskich – traktowała ją i Selene jak własną rodzinę. Sassy z Johnem często wpadali z wizytą. Byli jak papużki nierozłączki. Rzadko widywało się jedno bez drugiego.

Któregoś popołudnia John wszedł do domu z szeryfem Gravesem, który uśmiechał się szeroko.

– Sassy, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Tarleton otrzymał karę pięciu lat więzienia. Oczywiście będzie się odwoływał, ale to niewiele da. Mówiłem ci, że pani sędzia nie lubi gwałcicieli.

Sassy pokiwała głową.

– Szkoda, że proces, jaki miał w Wyoming, niczego go nie nauczył.

– Przynajmniej tym razem posiedzi i nie będzie więcej nikogo krzywdził. – Na moment szeryf zamilkł. – Przy okazji chciałem podziękować za prezent z Meksyku. Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju.

– Jaka?

– Skąd wiedziałaś, że umiem grać na flecie?

– A umie pan, szeryfie? – spytała zdziwiona. Graves zarechotał.

– Niech pan o nią dba – rzekł do Johna. – Żona jasnowidz to prawdziwy skarb. No dobra, wracam do miasteczka.

– A więc potrafisz czytać w myślach? – spytał John, kiedy drzwi się za szeryfem zamknęły. Przytknąwszy czoło do czoła żony, objął ją w pasie. – W takim razie powiedz, na co teraz mam ochotę.

Wspiąwszy się na palce, szepnęła mu odpowiedź do ucha. Śmiejąc się cicho, chwycił ją na ręce i ruszył do sypialni.